



B R A N D O N
S A N D E R S O N
I D E A L N Y S T A N

Wydawnictwo
MAG

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Idealny stan

Podziękowania

B R A N D O N
S A N D E R S O N
I D E A L N Y S T A N



PRZEŁOŻYŁA ANNA STUDNIAREK

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2017



W trzechsetną rocznicę urodzin w końcu podbiłem świat. Cały świat. Był to dość pamiętny prezent urodzinowy, choć jeśli mam być szczery, zostałem umieszczony na tym świecie, by pewnego dnia nim władać, i tego ode mnie oczekiwano.

Następne pięćdziesiąt lat groziło nudą. W końcu na co można poświęcać swój czas, kiedy już podbiło się cały świat?

Jeśli chodzi o mnie, dorobiłem się arcywroga.

– On coś planuje, Shale – powiedziałem, dosypując cukru do herbaty.

– Kto?

Shale był jedynym człowiekiem, który umiał się wylegiwać w pełnej zbroi płytowej. Prawie jej nie zdejmował – była częścią jego Konceptu.

– A jak myślisz?

Pociągnąłem łyk herbaty i przejrzałem listy na biurku, każdy zapieczętowany odrobiną ciemnoczerwonego wosku. Obaj siedzieliśmy na dużej latającej kamiennej płycie wyposażonej w krzesła i balustrady, przez co wyglądała jak taras. Za pomocą Przeszywania stworzyłem barierę, która ją otaczała, by chronić nas przed szalejącą wokół burzą. Nad naszymi głowami migotała Wielka Zorza – widoczna nawet przez burzowe chmury – oświetlając ziemię poniżej i nadając jej lekko niebieski odcień.

Błyskawice od czasu do czasu ukazywały setkę innych płyt lecących w szyku wokół mojej. Niosły niewielki orszak żołnierzy – zaledwie sześć tysięcy – jako moją straż honorową.

Wstrząsnął nami grzmot. Shale ziewnął.

– Naprawdę powinienes zająć się pogodą.

– W końcu to zrobię.

Te ostatnie pięćdziesiąt lat poświęconych na badania praktycznego zastosowania Przeszywania było bardzo owocne, ale panowanie nad pogodą – przynajmniej na dużą skalę – wciąż mi umykało.

Pociągnąłem łyk herbaty. Stygła, ale na to przynajmniej mogłem coś poradzić. Rozpiąłem guziki prawego rękawa, wystawiając skórę na niebiesko-fioletowy blask pulsujący na niebie. Wielka Zorza otaczała cały świat i nawet najpotężniejsze burze ledwie zakłócały jej perłowy blask. Zorza odpierała burze – stąd wiedziałem, że ja pewnego dnia również będę do tego zdolny.

Wszedłem w Przeszywający Wzrok i wszystko wokół mnie pociemniało. Wszystko prócz Wielkiej Zorzy. Kąpałem się w jej ciepłym blasku – czułem teraz jego pulsowanie na

skórze. Wciągnąłem moc przez ramię, posłałem energię do czubków palców i w filiżankę.

Herbata zaczęła parować. Pociągnąłem łyk i opuściłem Przeszywający Wzrok, by otworzyć jeden z listów. Pieczęć nosiła symbol mojej sieci szpiegów.

Wasza Wysokość, przeczytałem. *Wierzę, że muszę Was poinformować, iż Zwój Wode po raz kolejny...*

Zmiałem papier.

– Oho! – powiedział Shale.

– To nic takiego.

Upuściłem kawałek papieru i zapiąłem rękaw. Jednak nie pochodził od wywiadu – Besk po prostu wiedział, że raporty szpiegów otwieram na początku.

Kolejny grzmot zakołysał podwyższeniem, gdy przeglądałem dalsze raporty, każdy z moim cesarskim godłem na szczycie.

– Nie możesz sprawić, żeby to coś leciało szybciej, prawda? – spytał Shale.

– Ciesz się, że nie musimy tego robić w starym stylu.

– W starym stylu? To znaczy... konno? – Shale podrapał się po brodzie. – Brakuje mi tego.

– Naprawdę? Obolałe pośladki, jazda w deszczu, pogryzienia, szukanie paszy dla zwierząt...

– Konie mają osobowość. Ta płyta nie.

– Mówisz tak, bo to część twojego Konceptu. Dzielny rycerz jeżdżący konno i zdobywający ręce pięknych panien.

– Jasne, jasne. Mam niezłą kolekcję rąk. I nawet parę stóp...

Uśmiechnąłem się. Shale był teraz szczęśliwie żonaty i miał piątkę dzieci. Jedynymi pannami, z którymi spędzał czas, były te, które nazywały go tatą i domagały się słodyczy.

Nadal przeglądałem raporty. Kolejny zawierał wstępny szkic nowych monet z moją podobizną, które miały zostać wybite jeszcze w tym roku. Portret był dość dokładny, dobrze przedstawiał moje rysy i włosy opadające w królewskich lokach na ramiona. Jednakże broda była zbyt bujna. Swoją starannie przycinałem na długość palca, dla wzmocnienia wizerunku. To coś na rysunku było stanowczo zbyt krzaczaste.

Zrobiłem notatki na szkicu, po czym pracowałem dalej, ignorując zmiętą wiadomość, którą rzuciłem na podłogę. Besk był zbyt bystry dla własnego dobra. Musiałem go zwolnić i zatrudnić głupiego kanclerza. Albo zhakować Beska i napisać jego Koncept od nowa.

Tyle że pisanie Konceptów od nowa było męczące. I, jeśli mam być szczerzy, nigdy nie radziłem sobie dobrze z hakowaniem. Dlatego właśnie, mimo stuleci spędzonych razem, ostatecznie nie zabrałem się do zmieniania Beska. Rzecz jasna, nie chodziło o to, że darzyłem kanclerza sympatią. Ten trollowaty osobnik nigdy nie robił tego, co mu kazałem. Władałem dosłownie miliardami ludzi, a spośród nich tylko ten jeden ignorował moją wolę.

– Masz. – Uniosłem raport w stronę Shale'a. – Popatrz na to.

Shale podszedł z brzękiem pancerza.

– Kolejny robot? – Ziewnął.

– Roboty Melhiego są niebezpieczne.

– Ziew.

– Przed chwilą ziewnałeś. Nie musisz jeszcze tego mówić.

– Ziew. Co się stało z wielkimi wyprawami, Kai? Polowaniem na smoki, poszukiwaniem magicznych mieczy? Ostatnio tylko ślęczysz nad magią i pojedynkujesz się z Żywozrodzonymi z innych Stanów.

– Starzeję się, Shale.

Znów przyjrzałem się raportowi. Moi szpiegowie podsłuchali paru ludzi Melhiego, którzy w Stanie Granicznym przechwalali się tym jego nowym robotem. Pokręciłem głową. Melhi wciąż boleśnie odczuwał porażkę w Lecours, innym ze Stanów Granicznych, do którego obaj mieliśmy dostęp. Był pewien, że jego armie pokonają moje.

– Starzejesz się? – Shale się roześmiał. – A co to ma za znaczenie? Jesteś nieśmiertelny. Twoje ciało jest młode.

Nie umiałem mu tego wyjaśnić. Misje, o których wspominał – budowanie królestwa, odnajdywanie ukrytych skarbów i tajemnic, jednoczenie tych, którzy chcieli pójść za mną, i podbijanie tych, którzy nie chcieli... Cóż, tego właśnie potrzebowałem w młodości. Uczyniły mnie człowiekiem, którym byłem, który mógł rządzić cesarstwem.

A to cesarstwo ostatnimi czasy rządziło się właściwie samo. Mieliśmy cesarski senat, dyplomatów, ministrów. Starannie powstrzymywałem się przed ingerencją, chyba że podjęli jakąś wyjątkowo głupią decyzję, z którą należało zrobić porządek. Jeśli mam być szczery, czerpałem większą przyjemność z nocy spędzonych w gabinecie na eksperymentach i medytacji. Jedynie nieliczne państwowe uroczystości – jak ta dzisiejsza, podczas której upamiętnialiśmy pięćdziesiąty rok moich rządów – wyciągały mnie na zewnątrz.

Cóż, i jeszcze ataki Melhiego.

Szalejący na zewnątrz deszcz ucichł nagle, a niebo pojaśniało. Wielka Zorza wciąż widniała na niebie, które było błękitne, nie stalowoszare. Dotarliśmy do Alorni. Podniosłem się zza biurka, podszedłem do krawędzi płyty i spoglądałem z góry na przepływające poniżej niezliczone ulice miasta.

Przynajmniej tutaj, w centrum mojej władzy, mogłem powstrzymać burzę. Prędzej czy później, pomyślałem. Prędzej czy później uda mi się dokonać tego bez Kamienia Zorzy umieszczonego w środku miasta.

Alornia była miastem złocistych cebulastych kopuł na wąskich wieżach. Podwyższenie zwolniło i zgodnie z wcześniej zaplanowanym kursem opadło nad miasto, a za nim podążyła setka płyt niosących moją straż honorową. Na dole ludzie czekali, by zobaczyć, jak przelatujemy – moje ruchy były podawane do wiadomości publicznej. I tak oto poniżej rozległy się wiwaty, niby strumień, który nas niósł.

Uśmiechnąłem się. Może powinienem częściej pojawiać się publicznie? Stojący u mojego boku Shale oparł dłoń na rękojeści miecza i zmrużonymi oczyma wpatrywał się w tych na dole.

– Nikt mnie nie trafi z takiej odległości – powiedziałem z rozbawieniem.

– Nigdy nie wiadomo, Kai.

Płyta opadła w stronę pałacu, który wznosił się na wzgórzu w centrum miasta, i przycumowała z boku dużej wieży, znów stając się balkonem. Zszedłem z niej i wkroczyłem do gabinetu, a grupa służących w luźnych spodniach i kamizelach na gołych torsach wybiegła na balkon, by podnieść biurko i ponieść je za nami.

Shale przeciągnął się ze stukotem pancerza.

– Ta podróż za każdym razem wydaje się coraz dłuższa.

– Bez zbroi byłoby ci pewnie wygodniej.

– Jestem twoim osobistym strażnikiem, Kai. Jeden z nas musi być gotów. Pamiętasz, kiedy próbowali cię porwać tamci powietrzni nomadowie? – Shale uśmiechnął się z nostalgią jak ktoś, kto wspominał młodzińczy romans. – Albo tamten raz, kiedy utknęliśmy w Mackach Sashim?

– Jasne. Niosłeś mnie... jak daleko?

– Dobre pięćdziesiąt mil. Na Panów. To było... dobrze ponad sto lat temu, prawda?

Nie odpowiedziałem. Shale się nie starzał – przed wielu laty odkryliśmy w skarbcu smoka Galbrometha eliksir długowieczności. Ostatnio zacząłem się zastanawiać, czy ten eliksir nie został tam umieszczony po to, żebym miał uzasadniony powód, by się nie starzeć. Nie poznałem swojej prawdziwej natury do osiągnięcia pięćdziesiątego roku życia, który Wode nazywa Wiekiem Świadomości.

Shale znów się przeciągnął.

– Cóż, lepiej zachować czujność. Właśnie wtedy, gdy panuje spokój, należy najbardziej uważać.

– Z całą pewnością. Dziękuję ci za twoją dzisiejszą pomoc.

– Jasne. Dobrze, że jestem w okolicy, prawda? Tak czy inaczej, zamierzam zajrzeć do Sindrii. Zobaczyć, co porabiają dzieciaki i w ogóle.

– Dobry pomysł.

Patrzyłem, jak służący starannie układają wszystko na biurku. Czy miałem czas, by uporządkować te raporty...?

Nie. Musiałem iść. Podeszedłem do Shale'a, który właśnie otwierał drzwi na korytarz. Spojrzał na mnie pytająco.

– Jeśli się pośpieszę – wyjaśniłem – może uda mi się zejść do laboratorium, zanim Besk...

Shale otworzył drzwi do końca. Za nimi stał Besk.

– Auć – powiedział Shale. – Przykro mi, Kai.

Besk uniósł namalowaną brew. Przypominał jedną z tych postaci, które ludzie rzeźbili na zewnętrznych ścianach budynków. Kończyny, które robiły wrażenie przesadnie długich, zbyt sztywne szaty, twarz bez wyrazu. Dawno temu podzieliłem się z nim kroplą eliksiru nieśmiertelności. Od tego czasu mnie dręczył. Ukłonił się.

– Wasza Cesarska Wysokość.

– Besk. Obawiam się, że codzienny raport będzie musiał poczekać. Doszedłem do pewnych wyjątkowo ważnych, przełomowych wniosków w kwestii Przeszywania, które

absolutnie muszę zapisać.

Kanclerz długo wpatrywał się we mnie, nie mrugając. W palcach trzymał charakterystyczną płytkę. Była wielkości książki, a jednak niewiarygodnie cienka – w całym cesarstwie nie znalazłoby się nic podobnego. Jeden ze służących podniósł zmiętą kartkę, którą zostawiłem na balkonie, po czym odłożył ją na biurko, na wypadek gdyby była ważna. Besk uniósł brew odrobinę wyżej.

– W takim razie odprowadzę was do laboratorium, Wasza Wysokość.

Shale poklepał mnie po ramieniu i odszedł. Bez chwili wahania stawiał czoła skrytobójcom, buntownikom i przerażającym stworom, ale nawet po tak długim czasie Besk wywoływał w nim niepokój.

– Moglibyście rozważyć wyrażenie zgody, by sir Shale odszedł na emeryturę – powiedział Besk, kiedy ruszyliśmy.

– Lubi to, co robi. A ja lubię mieć go pod ręką.

– Wasza wola jest, rzecz jasna, prawem.

– Jasne. Chyba że chodzi o Wode.

– Przez ponad sto lat waszych rządów to jedyny raz, kiedy odezwało się do was Wode.

Besk uniósł płytkę. Zwój Wode, jedyny oficjalny sposób komunikacji ze światem zewnętrznym.

Zwój wypełniały słowa, których nie chciałem czytać. Niewielki fragment, który widziałem, sugerował jednak, że w słowach Wode było coraz więcej nacisku. Od zbyt dawna ich ignorowałem.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu, aż opuściliśmy korytarz i znaleźliśmy się na pomoście łączącym dwie wieże. Wiedziałem, że nie powinienem być tak surowy wobec Beska. Działał w zgodzie ze swym Konceptem i był na swój sposób lojalny, nawet kiedy okazywał nieposłuszeństwo.

Poniżej rozległy się wiwaty, a ja w roztargnieniu uniosłem dłoń, by pomachać poddanym. Wielka Zorza świeciła na niebie, ale ten jeden raz jej światło mnie nie pocieszało.

– Czy to tak uciążliwe zadanie, Wasza Wysokość? Wode prosi was o poświęcenie jednego dnia, by wypełnić zadanie, które większość ludzi uznałaby za przyjemne.

– Nie chodzi o samo zadanie, lecz o bycie... wezwanym w taki sposób. Co z tego, że jestem cesarzem, jeśli ktoś inny może po prostu mnie przywołać, jakbym był zwykłym podczaszym albo posłańcem? To podkopuje wszystko, czego dokonałem, wszystko, co osiągnąłem.

– Proszę was jedynie, byście wypełnili obowiązek wobec swojego gatunku.

– A jakie obowiązki wypełniał mój gatunek wobec mnie?

– Milordzie. – Besk zatrzymał się na pomoście. – To wyjątkowo niestosowne.

Przypominacie mi dziecko, którym byliście, a nie króla, którym się staliście.

Próbowałem pójść dalej bez niego, jednakże buty ciążyły mi, jakby wypełniał je ołów. Zatrzymałem się kilka kroków przed nim, ale się nie odwracałem.

– To wasz obowiązek – powtórzył Besk.

– Jestem mózgiem w słoju, Besk. Jednym z bilionów. Dlaczego nie mogą męczyć jednego z pozostałych?

– Ustalono, że osiągnęliście wielkie...

– Wszyscy osiągnęliśmy wielkie rzeczy. – Obróciłem się i rozłożyłem szeroko ręce, obejmując miasto. – Taki jest sens tego wszystkiego. Jak wielu spośród bilionów pozostałych prowadzi życie takie jak moje, w Pierwotnych Stanach Fantastycznych?

– Programowanie pozwala, a nawet wymaga, by każdy Stan był indywidualnie kształtowany.

– To bez znaczenia, Besk.

Na Panów! Nie znosiłem nawet o tym myśleć.

Wode jedynie dwa razy wtrąciło się w moje życie. Najpierw kiedy skończyłem pięćdziesiąt lat, by powiedzieć mi, że moja rzeczywistość to wielowarstwowa symulacja.

A teraz, by zażądać, żebym się rozmnożył.

– To bez znaczenia – powtórzyłem.

Podszedłem do Beska. Rzecz jasna, nie był jednym z Wode, nigdy nie spotkałem żadnego z nich. Był częścią mojej rzeczywistości, mojego Stanu. Ale podobnie jak wszystko inne w całej mojej egzystencji, gdyby okazało się to konieczne, posłużyłby Wode. Kontrolowali oprogramowanie i gdyby zostali zmuszeni, mogliby zmienić wszystko na tym świecie – wszystko poza mną samym – by zmusić mnie do posłuszeństwa.

Na Panów, samo myślenie o tym mnie bolało.

– Wymagania są nedorzeczne – mówiłem dalej. – Potrzebują mojego DNA, by stworzyć nowych Żywozrodzonych ludzi. W porządku. Mogą je sobie wziąć. Wbić igiełkę, czy czego tam używają, do mojego słoja i pobrać próbkę. Proste.

– Wymagają, byście mieli kontakt z kobietą, Wasza Wysokość. Zgodnie z zasadami musicie ją wybrać, a ona was, a później musicie się spotkać i spełnić akt.

– Nasze ciała są jedynie symulacjami. Dlaczego musimy się spotkać?

– Nie wiem.

– Phi!

Zszedłem z pomostu i wróciłem do pałacu.

Besk poszedł za mną.

– Rozkazałem wypełnić teren polowań dzikimi smokowcami, Wasza Wysokość. Najbardziej zajadłymi, jakie udało nam się znaleźć. Może zniszczenie ich poprawi wam nastrój.

– Może.

Nawet myślenie o Wode sprawiało, że znów stawałem się dzieckiem – pod tym względem Besk miał rację. Dowodziłem wielotysięcznymi armiami i samodzielnie stworzyłem cesarstwo, które obejmowało całe kontynenty. Ale to... ale to sprawiało, że znów zmieniałem się w rozpuszczonego bachora. Zatrzymałem się na schodach.

– Nie znam powodów istnienia zasad, milordzie – powiedział Besk łagodniej. Podszedł i położył dłoń na moim ramieniu. – Ale są starożytne i dobrze służyły waszemu gatunkowi. Zgodnie z Doktryną XinWeya...

– Nie rób mi wykładów.

Umilkł, ale... a niech to... słyszałem jego głos w głowie. Wystarczająco często czytał mi te zasady.

„Zgodnie z Doktryną XinWeya najwyższym moralnym obowiązkiem ludzkości jest zapewnienie jak największego szczęścia jak największej liczbie ludzi przy użyciu jak najmniejszych środków”.

Jak się okazało najlepszym sposobem na stworzenie ogromnie zadowolonych ludzi przy użyciu minimalnych środków było wyjęcie ich mózgów w okresie płodowym i podłączenie do symulowanych rzeczywistości dopasowanych do ich rozwijających się osobowości. Każdy Żywozrodzony dostawał cały świat, w którym był najważniejszą osobą swoich czasów. Niektórzy zostawali artystami, inni politykami, ale każdy miał szansę osiągnąć niezrównaną wielkość.

Do tego celu potrzeba było jedynie pojemnika wielkości melona – w którym mieściły się maszyna symulująca, mózg i płyn odżywczy. Niewiarygodnie wydajne. I... jeśli mam być szczery, nie czułem niechęci – do diabła, byłem zachwycony. Zostałem cesarzem, a choć symulacja dawała mi okazje, każdy krok – każda wyczerpująca wyprawa lub osiągnięcie – musiał być moim własnym. Zasłużyłem sobie na to życie.

Jednakże myślenie o milionach milionów innych, którzy zrobili to samo... napełniało mnie niepokojem. Czy istniały miliony Besków, miliony Shale'ów, miliony mnie, a wszyscy żyjący pod Wielką Zorzą?

Całe moje istnienie uczyło mnie, że byłem wyjątkowy, ważny i potężny. Czułem niechęć na myśl, że mogę być tylko jedną z wielu osób.

– To nie potrwa długo, milordzie. Wybierzcie jedną z kobiet z listy... Wode umieściło je w kolejności zgodnej z przewidywanym dopasowaniem... i wyślijcie jej propozycję spotkania. Może moglibyście zjeść razem kolację.

– Kobieta z ich listy – warknąłem. – Żywozrodzona kobieta, która włada własnym światem. Na Panów, będzie nieznośna.

Nie chciałem się zbliżyć do innych Żywozrodzonych, chyba że na polu bitwy w Stanie Granicznym, a i to polubiłem dopiero po pewnym czasie. Moje pierwsze spotkanie z Melhim było...

– Milordzie – odezwał się Besk. – Ściana.

Wzdrygnąłem się, kiedy uświadomiłem sobie, że coś się zmieniło na ścianie klatki schodowej. Na kamieniu pojawiały się słowa, jakby w nim wyryte, każda linia była zagłębiona.

DZIECIĘCY CESARZU. MAM DLA CIEBIE MIŁĄ NIESPODZIANKĘ.

– Melhi, ty wężu! Jak zhakowałeś mój pałac? To sprzeczne z zasadami konfliktu.

ZASADY SĄ JEDYNNIE SŁOWAMI. PODOBNIEM KRZYKI. USŁYSZĘ TWOJE ZA TO, JAK MNIE ZNIEWAŻYŁEŚ.

– Szpiedzy już mi opowiedzieli o twoim robocie, Melhi. Powinieneś przestać je wysyłać. W moim Stanie nigdy nie działają poprawnie.

Nie wspominałem, że byłem zaskoczony tym, jak dobrze działały. O wiele lepiej niż

Przeszywanie zadziałałoby w jego Stanie, w którym obowiązywały inne prawa fizyki.

BĘDZIESZ KRZYCZEĆ, DZIECKO. BĘDZIESZ KRZYCZEĆ.

Wszedłem w Przeszywający Wzrok. Dzięki niemu widziałem Wielką Zorzę nawet przez kamienie pałacu – ale i tak cofnąłem się do wejścia, gdzie blask Zorzy mógł padać na mnie bezpośrednio. Napełniłem ramiona mocą z jego ciepła, a później odepchnąłem ją od siebie. Dzięki Przeszywającemu Wzrokowi widziałem sedno wszystkiego, drobinki energii – a może myśli, czy czymkolwiek były – tworzące moją rzeczywistość.

Widziałem również włamanie Melhiego. Zamanifestowało się w postaci czerwonych pędów wpływających jak jad w mój pałac. Napełniony mocą odciąłem go, niszcząc pędy. Nie były silne – gdyby spróbował czegoś większego, zareagowałoby oprogramowanie ochronne Wode.

Powierzchnia ściany wróciła do normy. Na wszelki wypadek stopiłem kamień, nadałem mu nowy kształt i zamrugalem, powracając do normalnego wzroku.

– Na Panów, on musi się nauczyć, jak zapominać o urazach. Nigdy mnie nie pokona. Z pewnością musiał to już zrozumieć.

– Zaiste – odezwał się Besk. – Wydaje się, że uparcie podąża tą samą wcześniej obraną ścieżką, co świadczy, że brak mu dojrzałości i nie poświęcił czasu, by zastanowić się nad najlepszym rozwiązaniem. A wy jak sądzicie?

– Wystarczy, Besk.

– Jeśli to możliwe, zawsze staram się mówić na temat, Wasza Wysokość.

Odetchnąłem głęboko, uspokajająco. Nic mi to nie dało.

– W porządku. W porządku, nieważne. Wybierz jedną kobietę z listy. Spotkamy się, załatwimy to i wrócę do swojego życia.

– Którą mam wybrać? Tę, którą Wode uznaje za najbardziej dopasowaną?

– Na Panów, nie – warknąłem i odszedłem. – Weź jakąś z dołu listy. Przynajmniej będzie ciekawie.



Spotkanie miało się odbyć w jednym ze Wspólnych Stanów. Mógł je odwiedzać każdy Żywotrodzony, choć ja nigdy tego nie robiłem. Po co mi kolejne przypomnienia, że w rzeczywistości jestem zupełnie zwyczajny?

Shale, rzecz jasna, nie był zachwycony, że opuszczam nasz Stan. Zastąpił mi drogę do portalu.

– Nie rozumiem, dlaczego ja nie mogę pójść. Zawsze udaję się z tobą do Stanów Granicznych.

– One łączą się płynnie z naszym światem. Przyjmują nasze oprogramowanie. Wspólny Stan to zupełnie inna sytuacja, zakłada się, że będą je odwiedzać tylko Żywotrodzeni. Nawet gdyby udało nam się jakimś sposobem cię tam przemycić, zostałbyś włączony w lokalne oprogramowanie... dostałbyś życie, wspomnienia i historię pasującą do Wspólnego Stanu. To zmieniłoby twoją osobowość, w gruncie rzeczy zabijając cię.

– Zawsze byłem gotów oddać za ciebie życie, Kai.

– A ja zawsze to doceniałem. Gdybym był w niebezpieczeństwie, przyjąłbym twoje poświęcenie. Ale nie pozwolę, byś oddał życie tylko po to, żebym... mógł uprawiać seks.

Na Panów, jakże głupio to brzmiało.

– To moja wina, Kai. Gdyby Molly wciąż żyła, nigdy by cię nie wybrali. Wode wzywa jedynie tych, którzy nie pozostają w stałych związkach.

– No tak, ale ona odeszła.

Przed iloma... dziewięćdziesięcioma laty? Powinienem być przyjąć zaloty jednej z chętnych kobiet, które mnie otaczały. Mógłbym mieć harem... na Panów, w pewnym momencie miałem harem. Przed Molly.

– Tak się musi stać, Shale. Nie zmuszaj mnie, żebym Przeszył cię z drogi.

Niechętnie opuścił rękę.

– Po drugiej stronie nie będziesz mógł Przeszywać, Kai. Będziesz bezbronny. Jak... zwykły człowiek...

– Nie do końca – odezwał się Besk.

Odwróciłem się i zobaczyłem kanclerza wchodzącego do dużej sali z portalem. Kroczył po podłodze wykonanej z migoczącego wirokamienia – pewnego rodzaju skały, która pod naciskiem zmieniała kolory. Dostałem go w darze od Larkian tuż po tym, jak ich król oddał mi tron. Poleciałem wykorzystać go w sali z portalem, z której nie korzystałem zbyt często. Zmieniające się barwy wzbudzały we mnie mdłości.

– Wasza Cesarska Wysokość. – Besk podał mi węzełek. – Wczytałem się w tomy, które

odkryłeś w wielkim skarbie Ojca Liczy. Opisane w nich wizje wieszczka sugerują, że niektóre z waszych zdolności będą działać po drugiej stronie portalu. Zabierzecie ze sobą niektóre elementy oprogramowania ze swojego Stanu.

– Przeszywanie? – spytałem z nadzieją. – Ale... nie, oczywiście, że nie. Nie będzie tam żadnego źródła mocy.

– Mógłbyś zabrać ze sobą Kamień Zorzy – zaproponował Shale.

– Zniknąłby w chwili przejścia przez portal. Nic, co nie jest częścią mnie i nie jest zaprojektowane dla Stanu, do którego się udaję, nie może przejść na drugą stronę. Ale to znaczy... oczywiście. Moje przyśpieszenia umysłowe będą działać, prawda?

– Tak – odparł Besk. – Przyśpieszają działanie procesorów podłączonych bezpośrednio do waszego materialnego mózgu.

– Czy Wode mogłoby je powstrzymać? – spytałem z namysłem. – Odciać procesory, spowolnić moje myśli do normalnej szybkości?

– Nie umiem ocenić, czyby to zrobili. Wątpię, by w Stanie, który macie odwiedzić, rozdawano przyśpieszenia, ale sprowadzenie ich z zewnątrz może być akceptowalne. Na wszelki wypadek ograniczyłbym ich użycie, żeby nie zwracać na siebie uwagi Wode.

– A co z przyśpieszeniem uzdrawiania?

– Po raz kolejny nie mam pewności, Wasza Wysokość. Wydaje się bardziej prawdopodobne, że będą działać. W końcu Wspólne Stany zaprojektowano, by chroniły bezpieczeństwo Żywozrodzonych.

Pokiwałem głową i przełączyłem się na Przeszywający Wzrok. Spoglądając w swoje wnętrze, ustawiłem przyśpieszenia umysłowe – dzięki nim miałem wrażenie, że wszystko wokół mnie zwalnia – by uruchomiły się automatycznie, gdyby w pobliżu mnie doszło do wybuchu lub gdyby została przerwana ciągłość mojej skóry.

– Nadal mi się to nie podoba – stwierdził Shale. – Przyśpieszenie uzdrawiania nie jest doskonałe. Gdyby jednak ktoś cię tam zabił, byłbyś...

Mój mózg również by umarł. Część Doktryny XinWeya. Człowiek musiał doświadczać prawdziwego niebezpieczeństwa, by czerpać radość z sukcesów. Musiało istnieć ryzyko porażki, szansa śmierci.

Oczywiście nie zabiłby mnie przypadkowy upadek ze schodów. Byłem na to zbyt ważny. Jednak w swoim czasie umrę ze starości – od czego dzieliły mnie wciąż setki lat – oraz, co ważniejsze, mogłem zostać zabity, szczególnie gdyby zaatakował mnie inny Żywozrodzony. We właściwych okolicznościach mogłaby mnie zabić nawet Symulowana Jednostka, jak Shale czy Besk.

Cóż, będę musiał po prostu zachować ostrożność.

Uniosłem węzełek.

– Zakładam, że to strój odpowiedni dla Stanu?

Besk przytaknął.

– Pojawi się na tobie, wyprasowany i porządny, w chwili przejścia przez portal. Jest tam również odpowiednia dla Stanu broń, jak prosiliście.

– Dzięki.

– Ona nie będzie działać, milordzie. Wspólne Stany są zaprojektowane tak, by nie były niebezpieczne, a ten jest wyjątkowo dobrze monitorowany. Podejrzewam, że twoja broń nawet nie wystrzeli, o ile Wode na to nie pozwoli.

– Będę się lepiej czuł, mając ją przy sobie. Nigdy nie idź na randkę bez broni.

Słowa mądrości mojego ojca.

To znaczy przybranego ojca. Rzecz jasna, byłem sierotą. Najlepsi królowie zawsze są.

– Pozostanę w kontakcie, milordzie. Żywotrodzeni odwiedzający ten stan mają prawo korzystać z bezpośrednich połączeń umysłowych.

– Doskonale.

Odetchnąłem głęboko, wcisnąłem węzełek pod pachę, a później – ponieważ nie miałem już żadnego dobrego powodu, by zwlekać – wkroczyłem do portalu.

Pojawił się błysk światła i wyszedłem przez metalowe drzwi. Kiedy się obejrzałem, okazało się, że wyłoniłem się z dziwnego rurowatego urządzenia na kołach. Przypominało wielką liczbę powozów połączonych ze sobą, z których każdy miał własne drzwi i okna.

„Nazywają to pociągiem, milordzie”, zauważył Besk. „Czytałem o nich. Są fascynujące. Być może udałoby się wam odtworzyć je za pomocą mechaniki Przeszywania. Lud byłby zadowolony, gdyby pojawił się szybszy środek podróży między miastami”.

„Niech Wielki Bibliotekarz zanotuje ich opisy”, odpowiedziałem. „Zajmę się tym pomysłem po powrocie”.

Niebo było ciemne, a ja odkryłem, że stoję na platformie na skraju dziwnego miasta. Budynki miały kształt prostokątnych pudełek wznoszących się wysoko w niebo, a w wielu oknach paliły się światła. Niebo było zachmurzone i mimo późnej pory w mieście panował duży ruch.

Mój ubiór był stonowany. Spodnie, czarne buty, które robiły wrażenie koszmarnie niepraktycznych, biała koszula, coś w rodzaju wąskiego szala wokół szyi i marynarka. Wszystko było dopasowane i o wiele lżejsze od ubrań, do których się przyzwyczailem. Przylegało w dziwnych miejscach, a kołnierzyk był zapięty stanowczo zbyt ciasno.

Na głowie zamiast korony miałem dziwny kapelusz o szerokim rondzie. Zdjąłem go natychmiast i wyrzuciłem. Okrywanie mej królewskiej fryzury wydawało mi się marnotrawstwem. Z pociągu, który przed chwilą opuściłem, wychodzili inni ludzie. Mężczyźni nosili ubrania podobne do mojego i wszyscy mieli takie same kapelusze z szerokim rondem. Żaden nie nosił brody, przez co czułem, że wyróżniam się jeszcze bardziej.

„To miasto nazywa się Maltanka”, przesłał Besk. „Choć większość ludzi nazywa tak również Stan, zamiast używać oficjalnego określenia Słowik124. Lokalna broń znajduje się pod waszą pachą w specjalnej ukrytej pochwie. Nazywają ją pistoletem i aby z niej skorzystać, należy wycelować rurkę w stronę wroga i pociągnąć za spust poniżej”.

„Jak w kuszy?”

„Tak, milordzie. Moje studia sugerują, że trudno ją poprawnie wycelować. Ten Stan nie ma symbiontów modyfikujących celność”.

„Cudownie”. Zszedłem z platformy. „Dokąd mam się udać?”

„Prosto ulicą, którą macie przed sobą. Musicie odnaleźć wysoki, podświetlony na niebiesko budynek i podać swoje imię odźwiernemu. Macie rezerwację”.

Kierując się wskazówkami, wyszedłem na szeroką ulicę, na której tłoczyły się metalowe powozy bez koni. Miałem coś podobnego w większości swoich miast, choć moje łączyły się z zagłębionymi pod powierzchnią dróg Kamieniami Zorzy.

Powietrze lekko pachniało deszczem, a ziemia była wilgotna. Besk wyrecytował informacje na temat Maltanki, które znalazł w jednym z naszych tomów. W tym Stanie panowała niekończąca się noc, a składało się nań miasto luźno oparte na – słowami księgi – „kulturach ziemskiego zachodu z pierwszej połowy dwudziestego wieku”. Cokolwiek to znaczyło. Deszcz padał często, ale zwykle nie był silniejszy od mżawki.

Pokiwałem głową i z zaciekawieniem nasłuchiwałem dźwięków miasta. Ten Stan nie był może głośniejszy od mojego – w Alornii czasem panował zgiełk – ale odgłosy były inne, obce. Powozy trąbiły na siebie i warczały jak dzikie bestie. Może w środku miały jakieś żywe zwierzę, które je napędzało?

Minąłem ulicznego muzyka grającego głośno na blaszanym rogu – jakby wzywał na wojnę, choć melodia robiła wrażenie bełkotliwej, jak gdyby sama muzyka się upiła. Cieszyłem się, że Symulowane Jednostki w rodzaju moich poddanych nie mogły odwiedzać takich Stanów – nie byłbym szczęśliwy, gdyby uliczni muzycy z mojej ojczyzny przybyli tutaj i uświadomili sobie, jak skutecznie dźwięk takiego rogu niósł się nad tłumami.

A spacerujący po ulicach, wszyscy w tych zbyt sztywnych ubraniach, dużo między sobą rozmawiali. Kierując się w stronę restauracji, podążałem za grupą mężczyzn i kobiet; przy okazji słuchałem ich plotek na temat miejscowej polityki.

„Wybory?” – spytałem Beska.

„W rzeczy samej. Co dwa lata miejscowi wybierają nowego Żywozrodzonego, by nimi rządził”.

„To głupota”. W wielu z poddanych mi królestw przeprowadzano wybory, by wyłonić urzędników państwowych, choć mogłem, rzecz jasna, wtrącić się i sam kogoś mianować, gdyby masy postąpiły głupio. „Kto pozwala Maszynozrodzonym decydować, co robią ich Żywozrodzeni? A poza tym, co może osiągnąć król w czasie tak krótkich rządów?”.

„To najpewniej jedynie oficjalny tytuł, Wasza Wysokość. W tym Stanie nie ma żadnego miejscowego Żywozrodzonego, więc w wyborach mogą wziąć udział jedynie goście tacy jak wy. Wygląda na to, że jednym z powodów odwiedzin jest pokusa walki o władzę z innymi Żywozrodzonymi. Choć, ponieważ armie z zewnątrz są zakazane, do osiągnięcia celu trzeba wykorzystywać miejscowych Maszynozrodzonych”. Zawahał się. „Moglibyście uznać to za wyzwanie”.

„Raczej nie”, pomyślałem z parsknięciem. „Jeśli tytuł tak często przechodzi z rąk do rąk, nie może się z nim wiązać prawdziwa władza”. W rzeczy samej, cała natura tego Stanu podkreślała, że władza polityczna była jedynie iluzją, która miała zajmować czas Żywozrodzonych i nas ekscytować.

Podążyłem zgodnie z instrukcjami Beska do wskazanego budynku, wysokiego i prostokątnego. Restauracja najwyraźniej znajdowała się w pobliżu szczytu. Podeszedłem

bliżej, ale zatrzymałem się gwałtownie. Co to była za seria trzasków po mojej prawej?

Ludzie przede mną – którzy, jeśli oceniać po ich rozmowie, najpewniej byli Symulowanymi Jednostkami – również się zatrzymali, ale później ruszyli dalej ulicą.

„Co to za trzaski, Besk?”

„Ogień z pistoletów”

Zawahałem się, po czym ruszyłem biegiem w stronę odgłosów.

„Nie zamierzaliście się angażować, Wasza Wysokość?” – spytał Besk z rozbawieniem.

„Zamknij się”

Zbliżając się, przygotowałem swoje przyśpieszenia umysłowe. Kiedy usłyszałem dźwięki, nie pozwoliłem im się uruchomić, musiałem zachować je w rezerwie na wypadek, gdyby korzystanie z nich zwracało uwagę Wode. Ale chciałem być gotów.

Przeszedłem dwie ze zbyt gładkich ulic tego Stanu, po czym wkroczyłem na niewielką uliczkę, w której grupa mężczyzn w kapeluszach zbliżała się do młodej kobiety w spodniach i marynarce. Kryła się w płytkiej wnęce ukrywającej wejście do budynku i gorączkowo strzelała z małego pistoletu. Drzwi za jej plecami były zamknięte. Inna kobieta leżała na brzuchu, jasne włosy otaczały jej głowę, a krew plamiła tył sukienki.

„Ostrzeż Wode”, powiedziałem do Beska. „Tu się dzieje coś nielegalnego”.

Później wkroczyłem w Przeszywający Wzrok. Przypominało to wejście w nicość. Tutaj, zamiast ciepła Wielkiej Zorzy, znalazłem jedynie wszechogarniające zimno.

Idiota, pomyślałem, potykając się w ciemnościach. Czego się spodziewałem? Wyślizgnąłem się z Przeszywającego Wzroku i wyciągnąłem broń spod pachy. Pistolet sprawiał wrażenie niezgrabnego, a jego uchwyt, w przeciwieństwie do obłej rękojeści miecza, miał kształt pudełka. Wycelowałem otwarty koniec rurki w stronę mężczyzn i pociągnąłem za spust. Pistolet trzasnął i szarpnął się w mojej dłoni, niemal z niej wyskoczył. Na Panów! Nad tym czymś niemal nie dało się zapanować. A ten hałas! Kto chciałby mieć broń, która zwracała na siebie tak wielką uwagę?

Całe szczęście moje nagłe przybycie – i kakofonia strzałów, gdy jeszcze kilka razy pociągnąłem za spust – odwróciła uwagę mężczyzn i pozwoliła kobiecie przebiec z wnęki do bardziej bezpiecznej kryjówki za dużym metalowym pojemnikiem pełnym śmieci. Spotkałem się tam z nią, oparłem plecami o zbiornik odpadków. Poczulem, że przeszywa mnie dreszcz ekscytacji.

– Lepiej ode mnie znasz tę okolicę – odezwałem się do kobiety. – Którędy powinniśmy uciekać?

Przyjrzała mi się uważnie. Była ładna, miała ostre rysy twarzy i ciemną skórę. Następnie uniosła broń i wystrzeliła.

Uskoczyłem przed strzałem.

Formalnie rzecz biorąc, nie uskoczyłem przed strzałem, a raczej zszedłem z drogi pocisku, zanim w ogóle został wystrzelony. Uruchomiłem przyśpieszenie umysłu – spowalniając świat dla mojej percepcji – i to pozwoliło mi ocenić, w co kobieta zamierzała wycelować broń. Dzięki przyśpieszeniom nie poruszałem się szybciej, ale mogłem przyjrzeć się jej postawie i poruszeniom mięśni, dzięki czemu, ustawiłem się bokiem,

zanim wystrzeliła, a pocisk mnie ominął.

Mimo to było blisko. Strzał minął mój bok, a ja poleciałem na ziemię i wyłączywszy przyśpieszenie – wolę korzystać z niego jedynie przez krótki czas – wycelowałem swoją broń w kobietę. Z takiej odległości udało mi się wpakować dwa pociski w jej pierś, a przez cały czas myślałem tylko, jakie to prymitywne, korzystać z metalowej rurki zamiast z mocy Wielkiej Zorzy.

„W waszym pistolecie pozostał jeden pocisk, Wasza Wysokość”. Besk wydawał się najszczęśliwszy, kiedy mógł za mnie liczyć.

„Dzięki”, odpowiedziałem, choć wątpiłem, bym potrzebował broni. Kiedy pozostali mężczyźni zwrócili się przeciwko mnie, rzuciłem pistoletem w jednego z nich i chwyciłem coś, co wystawało z pojemnika na odpady. Wąski metalowy pręt. Zakręciłem nim, wyczuwając wyważenie, a później odwróciłem się w stronę najbliższego napastnika, mężczyzny, który niezgrabnie próbował złapać mój pistolet.

Zamachnąłem się. Pręt nie był Indelebreanem – moim zaczarowanym mieczem – ale był dobrze wyważony i przeciął powietrze z satysfakcjonującym świstem, po czym trafił w dłoń mężczyzny. Rozległ się trzask pękających kości i mój przeciwnik z okrzykiem bólu rzucił broń. Zrobiłem krok do przodu, unosząc metalowy pręt. Mogłem mieć tylko nadzieję, że przyśpieszenie uzdrawiania wystarczy, jeśli zostaną trafiony przez jednego z pozostałych...

– Przestań! – krzyknął mężczyzna przede mną i padł na kolana. – A niech to diabli, oszalałeś?

Pozostali dwaj podnieśli ręce, opuścili broń i wycofali się.

– Uspokój się, nieznajomy – powiedział jeden z nich. – Przerwa.

Mężczyzna najbliżej mnie zaklął, a ja cofnąłem się ostrożnie.

– Raul – odezwał się jeden z mężczyzn stojących obok tego, którego uderzyłem – to twoja wina. Wdałeś się w bójkę.

– Co nie znaczy, że mógł mnie uderzyć przeklętym prętem. – Mężczyzna na ziemi ścisnął złamany nadgarstek.

– Dokładnie to znaczy – odpowiedział jego towarzysz.

Stałem tam, czujny i zdezorientowany, trzymając metalowy pręt jak miecz.

– A niech to. – Trzeci mężczyzna spojrzał na kobietę, którą zabiłem. – Dostał Jasmine. Do którego stronnictwa należysz, nieznajomy?

– ...Stronnictwa? – powtórzyłem.

– Po prostu sprawdzimy w rejestrze.

Drugi z mężczyzn wpatrzył się w niewielkie urządzenie, które nosił przy nadgarstku.

Kobieta leżąca na ziemi jęknęła i podniosła się z trudem. Sapnąłem i wycelowałem w nią broń. Nekromancja? Przyśpieszenie uzdrawiania? Nie... z zaskoczeniem stwierdziłem, że moje strzały nie przebiły jej ubrania. Spojrzałem na ulicę w miejscu uderzenia pocisku, przed którym uskokczyłem, i odkryłem, że pozostawił krwawą plamę.

Farba. W chwili trafienia pociski wybuchają farbą.

– Co to była za pułapka? – spytała ostro kobieta, wskazując na mnie. Jej towarzyszka,

to znaczy druga kobieta, też zaczęła się podnosić. – Sądziście, że uwierzę, że w ostatniej chwili ktoś przyjdzie mi na pomoc, Raul?

– To nie my – odparł mężczyzna ze złamanym nadgarstkiem. Ta rana nie zagoiła się od razu. – On należy do jakiegoś innego stronnictwa.

Wszyscy popatrzyli na mnie.

– Jestem... no... – Odchrząknąłem i wyprostowałem się. – Jestem Kairominas z Alornii, Bóg-Cesarz...

– A niech to diabli – powiedziała kobieta. – Średniowieczny Stan.

– Zgadza się. – Mężczyzna spojrział na urządzenie na ręku. – Trafienie zostało zarejestrowane jako dzika karta.

– Rozumiem – powiedziałem. – To jakaś gra?

Zignorowali mnie, a kobieta – Jasmine – znów padła na ziemię, nie zwracając uwagi na plamy farby na marynarce i koszuli.

– To znaczy, że przez następne dwa tygodnie będę niewidzialna dla miejscowych AI i nikt ważny nie dostanie punktów za trafienie mnie?

– Przynajmniej nie złamał ci nadgarstka – jęknął Raul. Podniósł się. – Jak ja to naprawię? Maltanka nie ma nawet technologii leczenia kości.

– A kogo to obchodzi? – stwierdziła Jasmine. – Zabita przez dziką kartę? Macie w ogóle pojęcie, jak to wpłynie na moją pozycję w rankingu?

– Zgodziłaś się na wojnę domową, Jasmine – odparł jeden z pozostałych mężczyzn. – To nie nasza wina, że dałaś się nam złapać w zasadzkę.

Wyciągnął rękę, by pomóc jej się podnieść. Popatrzyła na niego, a później spiorunowała mnie wzrokiem.

– To jego wina.

Wszyscy znów spojrzeli na mnie, a ja poczułem, że z zaimprovizowaną bronią w ręku bardzo się wyróżniam. Mimo to spojrzełem im w oczy. Byłem cesarzem.

„Oni też”, powiedziałem sobie. Widziałem to w ich postawie – sposobie, w jaki Jasmine nie przyjęła wyciągniętej ręki i sama się podniosła, a Raul stłumił ból i zignorował ranę. Miast tego rozmawiał z kimś – mówił do urządzenia na zdrowym nadgarstku – domagał się, żeby odebrano mi trafienie i przypisano je jemu, bo to on zorganizował pułapkę. Każdy z tych ludzi był przyzwyczajony, by być najważniejszą osobą w pomieszczeniu.

Kiedy doszli do wniosku, że nie jestem ważny, rozeszli się, mówiąc do urządzeń na nadgarstkach albo rozmawiając między sobą. Trzeci mężczyzna, ten, który prawie się nie odzywał, odszedł z kobietą, która była już martwa, kiedy przybyłem na miejsce.

– Fantastyczne Stany – mówił do niej. – Szkoda, że go nie widziałas, jak tu wpadł gotów ratować Jasmine. Brakowało mu tylko zbroi i konia.

– Nie rozumiem, dlaczego Wode robi coś takiego – odparła kobieta. – Zmusza ich do dorastania w tak barbarzyńskim i prymitywnym otoczeniu.

– To nie wina Wode. – Głos mężczyzny cichł, kiedy oddalali się ode mnie. – Dopasowują Stan do rodzącej się osobowości jednostki. On tam pasuje.

„A tutaj nie”, sugerował jego ton.

Odrzuciłem pręt na bok. Na Panów, nienawidziłem tego miejsca.

„Wasza Wysokość”. W głosie Beska brzmiała frustracja. „Skontaktowałem się z Wode. Z początku zareagowali, ale wkrótce przysłali wiadomość, że nic wam nie będzie. Oni... wydawali się rozbawieni, milordzie”.

Wspaniale. Zrobiłem z siebie głupca również w oczach Wode. Podszedłem, podniosłem pistolet i wystrzeliłem ostatni pocisk w stronę ziemi. Pojawiła się plama farby.

„Wasza Wysokość? Co się stało? Jeśli wierzyć połączeniu empatycznemu, wygląda na to, że cierpicie”.

„Nic mi nie jest”. Opuściłem miejsce gry, pozostawiając za sobą jedynie plamy farby, które wciąż były zaskakująco podobne do krwi. „To była gra”.

„Gra?”.

„Zgadza się, broń została przeobrażona przez oprogramowanie Stanu. Strzela ślepych pociskami, a Żywozrodzeni wykorzystują to, by bawić się w zabijanie się nawzajem albo coś w tym rodzaju”.

„Interesujące”, odpowiedział Besk. „Według naszego tomu strzelanie w Maltance z takiej broni ma swoje konsekwencje, z czego wywnioskowałem, że Wode go zakazuje”.

„Nie. Konsekwencją jest to, że jeśli ktoś zostanie »zabity«, Maszynozrodzeni przez parę tygodni go nie widzą”.

To miało sens. Jeśli polityka tego Stanu wymagała zaskarbiania sobie przychylności głosujących, wyłączenie z rozgrywki na kilka tygodni oznaczało realne konsekwencje. W ten sposób gra była bardziej ekscytująca, ale nie niebezpieczna. Choć większość tego Stanu była spokojnym miejscem spotkań, wspólnych posiłków i nocnego życia, polityczny podtekst pozwalał Żywozrodzonym się bawić. Dołączyć do jednego z gangów, próbować przejąć część miasta i kierować imperium zbrodni.

Po siedemdziesiątce, kiedy byłem jeszcze dzieciakiem, mógłbym to uznać za zabawne. Teraz wszystko wydawało mi się zbyt przezroczyście. Nastroju nie poprawiała mi pewność, że gdybym napotkał prawdziwe niebezpieczeństwo, broń pod moją pachą byłaby bezużyteczna.



Restauracja znajdowała się na górnym poziomie jednego z największych budynków w centrum miasta. Przed wejściem czekał szereg ludzi, których ominąłem. Rzecz jasna, nikt się nie spodziewał, że ja będę stał w kolejce.

Dziwnie się czułem, że nikt nie podąża za mną. Żadni służący ani żołnierze. Strzegący wejścia mężczyzna uklonił się i gestem zaprosił mnie do środka. Mijając go, zauważyłem podkładkę z portretami, w tym z moim. Znajdowało się na niej również kilkoro uczestników wcześniejszej strzelaniny, więc pewnie kartka przedstawiała wszystkich Żywozrodzonych odwiedzających miasto, by odźwierny wiedział, komu ma być posłuszny. Jedynie nieliczni mieszkający w mieście byli Żywozrodzonymi – może setka z milionów. Podobnie jak w innych Stanach, resztę stanowili Maszynozrodzeni. Symulowane Jednostki, które urodziły się wewnątrz Stanu i spędzą w nim całe życie.

Wode mogłoby po prostu zaprogramować odźwiernego, by rozpoznawał Żywozrodzonych bez listy, ale to by popsuło iluzję. Czy ci ludzie znali swoją naturę? W moim Stanie dowiadawali się tylko nieliczni. Prawa Wieku Świadomości ich nie dotyczyły, więc mogli się dowiedzieć jedynie ode mnie lub ze Zwoju Wode.

Wjechałem na najwyższe piętro w wiszącej na drutach szklanej skrzynce i zostałem zaprowadzony do ustawionego na uboczu stolika dla dwojga. Był stamtąd doskonały widok na spowite półmrokiem miasto. Tak wiele światła – to miejsce miało w sobie energię. To mi się w nim podobało, choć oczywiście nie mogło się równać z Wielką Zorzą.

Usiadłem i w roztargnieniu podałem marynarkę pobliskiemu służącemu, ufając, że w końcu do mnie wróci. Spojrzałem na menu i zamówiłem niewielki zestaw napojów – szesnaście kielichów, a w każdym łyk wina, bym mógł zdecydować, które wybiorę do posiłku. Służący zamrugał na tę prośbę – może nie zamówiłem dość kielichów. Terminologia wina była podobna do tej z mojego Stanu, nawet jeśli nie znałem roczników.

„Cóż za interesujące dekoracje”, przesłałem do Beska, przyglądając się niewielkiej otoczonej szkłem świeczce, która stała pośrodku mojego stolika. „Żadnego paleniska. Cicha muzyka. Przygaszone światła. Właściwie jest całkiem przyjemnie”.

„Chcecie, żebym zwolnił ze służby cesarskich doboszy, milordzie?”

„Nie, ale dowiedz się, jaki instrument wydaje takie dźwięki”.

Służący przyszedł z tacą pełną kielichów. Wybrałem jeden i uniosłem go do ust. I zamarłem.

Między stolikami prześlizgiwała się kobieta, kierując się w moją stronę. Miała na sobie czerwoną suknię, która jednak w niczym nie przypominała tych z mojego Stanu.

Dopasowana, z rozcięciem z boku i płytkim dekoltem – w tym miejscu tkanina była kilka razy złożona. Nosiła buty z ostrymi obcasami i miała długie do ramion ciemne włosy.

Opuściłem kielich. Kobieta emanowała wytwornością. Służący schodzili jej z drogi, a ona szła tak, jakby się tego po nich spodziewała. Kroczyła powoli, z dużą pewnością siebie, ktoś wręcz odsunął stolik, żeby mogła przejść. Ona nawet nie spojrzała w jego stronę ani nie zwolniła. Cały czas wpatrywała się we mnie.

Kielich wyslizgnął się z moich palców i czerwony płyn wylał się na blat. Zakląłem i wyciągnąłem dłoń, by zaczerpnąć mocy Zorzy, by...

Cóż, zniszczyłbym barwnik w winie, by uczynić je bezbarwnym, później wyciągnął wilgoć i rozdzielił ją na dwa podstawowe gazy, by osuszyć obrus. Gdybym mógł Przeszywać.

Tymczasem wpatrzyłem się w obrus, zrobiłem zeza, żeby wejść w Przeszywający Wzrok, i znalazłem się w całkowitych ciemnościach, aż wróciłem do normalnego wzroku.

– To ty nim jesteś? – spytała kobieta, zbliżając się do stołu. Przez chwilę stała obok. – Wiesz oczywiście, że zgodnie z dobrym wychowaniem należy wstać na powitanie damy?

– Zgodnie z dobrym wychowaniem należy również dygnąć przed Bogiem-Cesarzem. – Nakryłem rozlane wino serwetką.

– Cudownie. – Usiadła. – Jesteś jednym z nich.

– Kairominas Pierwszy z Alornii. – Wyciągnąłem do niej dłoń. – Powiernik Siedemnastu Latarni, Mistrz Przeszywania, Pogromca Galbrometha.

– Stan Magiczne Królestwo. – Nie przyjęła mojej dłoni i usiadła na drugim krześle. – Przyjechałeś tu na jednorożcu?

– Nie mamy ich – odparłem chłodno. – A ty?

– Mów mi Sophie.

– Skąd jesteś?

– Stan Rodzącej się Równości. Przewodziłam ogólnoswiatowemu ruchowi na rzecz praw człowieka, wprowadziłam swoich ludzi w epokę postępu, a później przez pięć kadencji byłam pierwszą kobietą na stanowisku prezydenta świata.

– Robi wrażenie. – Próbowałem być uprzejmy.

– Właściwie to nie. – Machnęła na służącego, by przyniósł jej wino. – Odgrywałam jedynie rolę, którą oni mi wyznaczyli.

– Rozumiem.

Patrzyliśmy na siebie. Wino zaczęło przesiąkać przez moją serwetkę, ale Sophie nie zwróciła na to uwagi. Obserwowała mnie.

– O co chodzi? – spytałem w końcu.

– Próbuję cię rozgryźć.

– Robiłaś wrażenie, jakbyś zakładała, że już ci się to udało.

– Jesteś arogancki. Ale wszyscy jesteśmy. Władasz autorytarnie, przybyłeś tutaj, bo dostałeś polecenie, choć wcale ci się to nie podoba. Wolisz kontrolować wszystko wokół siebie... w twoim pałacu znalazłabym starannie wypielęgnowane ogrody i bezpieczne dzieła sztuki wiszące w budynku zaprojektowanym przez klasycznych architektów.

Widziałam setki takich jak ty. Tysiące. Niewiarygodnie potężnych, ale nudnych.

„Wiesz”, pomyślałem do Beska, „może jednak nie powinienem był wybierać kobiety z końca listy...”.

Besk powstrzymał się od komentarza.

– Skoro masz te wszystkie przypuszczenia na mój temat – z trudem panowałem nad głosem – dlaczego tu jesteś? Ton twojego głosu świadczy, że nie poważasz władzy. Dziwne, jak na prezydenta całego świata.

– Zrezygnowałam z tego. – Machnęła od niechcenia ręką.

– Ty... co takiego?

– Zrezygnowałam z prezydentury. Wysłałam w samym środku zgromadzenia światowego senatu. Wywołało to niezłe poruszenie w ich stadnych umysłach. Wślizgnęłam się do Stanu Rozwiniętej Nauki, podpatrzyłam technikę, która nie była formalnie zakazana w moim Stanie, a później wróciłam i uzbroiłam zbuntowane stronnictwo w zaawansowaną broń. To zakończyło pokój i rozpoczęło światową wojnę, która trwa nadal.

Patrzyłem na nią z otwartymi ustami. Wzruszyła ramionami. Podeszedł do niej służący i napełnił jej kielich.

– To... to straszne – powiedziałem. – Ilu zginęło?

– Że co? A ty nie zacząłeś żadnych wojen? – W jej głosie brzmiało rozbawienie. – Panie Cesarzu? Pewnie oprogramowanie po prostu położyło się na grzbiecie i oddało ci tron?

– Wojna była konieczna. Dla zjednoczenia. Kiedy byłem młodszy, mój Stan składał się z czterdziestu różnych królestw ściśniętych na jednym kontynencie. Ciągłe lała się krew. Dopiero zjednoczenie to powstrzymało.

– Jasne. – Napila się wina. Najwyraźniej nie przejmowała się rocznikiem. – Odkryłeś już zaginiony kontynent?

– Nie ma czegoś takiego.

– Oczywiście, że jest. Zawsze jest zaginiony kontynent. Oprogramowanie go wyrzuci, kiedy zaczniesz uważać, że twoje życie jest nudne. Da ci nowe wyzwanie, sprawi, że znów zabierzesz się do pracy. Powinno cię to zająć na stulecie albo dwa, aż zestarzejesz się tak bardzo, że nawet technika Wode nie utrzyma twojego mózgu przy życiu. Wtedy dadzą ci jeszcze kilka lat pokoju, zanim umrzesz. – Uśmiechnęła się wyraźnie zadowolona z siebie. – Czytałam o Fantastycznych Stanach. Zaginiony kontynent jest zwykle jednym z nielicznych miejsc ukrytych przed twoją magią.

„Zanotuj to, Besk”, powiedziałem, ale na zewnątrz jedynie się uśmiechnąłem.

– Zajmiemy się tym, jeśli się pojawi. Bardziej ciekawicie mnie ty i twoja wojna. Tak, robiłem potworne rzeczy, ale moja brutalność przynajmniej miała sens. Ty brzmisz, jakbyś zaczęła wojnę tylko po to, by zrujnować ludziom życie.

– Zrujnować ludziom życie? Wątpię, by Wode zwracało tak wielką uwagę na moje czyny.

– Nie chodziło mi o życie Wode. Miałem na myśli ludzi zabitych w twoim Stanie. W wojnie.

Machnęła ręką.

– Oni? To tylko bity w maszynie.

– Tylko bity... – Przechyliłem głowę. – To chyba najbardziej prymitywne stwierdzenie, jakie słyszałem w życiu, a walczyłem z barbarzyńcami.

Wzruszyła ramionami i dopiła wino.

– Naprawdę nie uważasz Maszynozrodzonych za prawdziwych ludzi?

– Oczywiście, że nie – odparła. – Wszystko, co „czują”, jest fałszerstwem.

– To, co my czujemy, też jest fałszerstwem.

– My mamy ciało. A przynajmniej jego kawałek.

– A co jest takiego wyjątkowego w ciele? – spytałem ostro. Besk i Shale... byli moimi przyjaciółmi. Czuję, że powinienem bronić ich i ich rodzaju. Moi poddani byli więcej niż tylko bitami w maszynie. – Tak, mamy mózgi, ty i ja. Co „czujemy” i „myślimy”, jest efektem działania substancji chemicznych wpływających w naszych głowach. Jak to się różni od emocji Maszynozrodzonych? Bity czy hormony, co za różnica?

Patrzyła na mnie beznamiętnie.

– Oczywiście, że to różnica. Ten cały świat, każdy z tych światów... one są fałszywe.

– Podobnie jak „prawdziwy świat”. Kiedy ludzie na zewnątrz dotykają przedmiotu, „czują”, jak elektrony w substancji odpychają elektromagnetycznie elektrony w ich palcach. Kiedy „widzą”, tak naprawdę chodzi o fotony uderzające w ich oczy. Wszystko jest energią zaprogramowaną na bardzo małą skalę.

– Cóż za poważny naukowy wywód jak na Fantastyczny Stan.

– Fantastyczny nie znaczy jeszcze prymitywny. Jestem przekonany, że czytałem, iż Wode uznaje prawa Maszynozrodzonych. Czy nie pozostawiają działającego Stanu nawet po śmierci jego Żywozrodzonego?

– Owszem. Ale w końcu popychają Stan z powrotem w stronę chaosu, a później wprowadzają prawdziwego nowo narodzonego człowieka, by w nim dorastał i objął władzę. Ale to bez znaczenia. Co osiągnąłeś w swoim życiu? Naprawdę osiągnąłeś?

– Zjednoczyłem...

– Coś, czego nie mogli od początku zaprogramować w Stanie. Coś prawdziwego.

– Już powiedziałem, że nie zgadzam się z twoją definicją prawdziwości.

– Ale zgadzasz się, że mogliby stworzyć Stan, w którym wszyscy żyją w harmonii, prawda? Którym kieruje rząd światowy?

– Pewnie tak.

– Oni czują, że muszą nam dawać coś do roboty, żeby nas zabawić. Zająć naszą uwagę. Tym właśnie jest nasze życie, skomplikowaną symulacją rozrywkową. Sprawili, że urodziłam się w Stanie dręczonym przez przestarzały system społeczny z ziemskiej przeszłości, żebym mogła go przeobrazić... i powtórzyć to, co w prawdziwym świecie osiągnięto przed stuleciami. To bez sensu.

Oparłem ręce na stole i wyjrzałem przez okno.

– O co chodzi? – spytała.

– Nie znoszę przegrywać w dyskusjach. Ale masz rację. Ta część... mnie dręczy.

– Hm. Nie spodziewałam się, że się do tego przyznasz.

– Nie sama symulacja jest problemem. Maszynozrodzeni są ludźmi, a to, co czują... to, co ja czuję... jest prawdziwe. Przeszkadza mi jednak sposób, w jaki Wode podkopuje nasz autorytet. Co chyba mi wcale nie przeszkadzało, gdyby nie dręczył mnie niepokój, że utrudniają nam życie jedynie na tyle, by było ekscytujące, ale byśmy nie mogli przegrać. Dobrze, że chociaż możemy umrzeć.

– Ha! – Machnęła ręką. – To mit.

– Co takiego? Oczywiście, że nie.

– Ależ tak, przysięgam. Żaden Żywozrodzony nie umarł inaczej niż ze starości... a przynajmniej przez kilka pierwszych stuleci, bo później Wode pozwala im na wtrącanie się w sprawy innych Stanów. Możemy zabić się nawzajem, ale nasze symulacje... nie, one nie mogą nas nigdy skrzywdzić. Widziałam Stany, w których Żywozrodzeni są koszmarne niekompetentni, a i tak udało im się osiągnąć minimum tego, czego się od nich oczekuje.

Nie odpowiedziałem.

– Nie wierzysz mi – stwierdziła. – Mogę dostarczyć...

– Wierzę ci. Już wiedziałem.

Tak właśnie było. Och, nie chciałem wyrażać tego na głos, ani nawet myśleć, ale podejrzewałem, że tak właśnie jest. Od czasu pierwszej wycieczki do Stanu Granicznego, kiedy zacząłem się martwić.

Dlatego właśnie unikałem innych Stanów i innych Żywozrodzonych. Wszystko, co robiliśmy, było jak ci ludzie bawiący się pistoletami na farbę na ulicy. Nasze życia były grą.

Moim tajemnym zmartwieniem nie było to, że jestem normalny, ale że dodatkowo mogłem być rozpieszczany. Jak dziecko w kołysce.

– Przykro mi – powiedziała. – Lepiej, kiedy możemy udawać, czyż nie?

– Lepiej to określenie wieloznaczne. – Znów wyjrzałem przez okno. Ponownie zaczęło padać. – Wciąż sądzę, że nasze życie może mieć sens. Są nim postępy, które czynimy, to, kim jesteśmy.

– Och, nie twierdzą, że nie ma sensu. Po prostu sądzę, że nie powinniśmy pozwalać, by stanowiło go to, co oni podają nam na srebrnych talerzach. Jak to spotkanie. Zignorowałam wszystkich innych Żywozrodzonych, którzy chcieli się ze mną spotkać.

– Dlaczego przyszedł teraz?

– Ponieważ jesteś pierwszym, który poprosił mnie z końca listy dopasowania. Byłam ciekawa.

Patrzyła na mnie, trzepocąc długimi rzęsami. „Ciekawa”, powiedziała. To dlaczego wybrała piękną suknię i makijaż?

Na Panów, pomyślałem, patrząc na nią. Na Panów, rzeczywiście wydaje mi się interesująca. Jakie to nieoczekiwane. Sięgnąłem po nowy kielich. I odkryłem, że na stole w pobliżu rozlanego wina pojawiły się słowa, jakby wyrzeźbione w obrusie.

NADCHODZĘ, DZIECKO. BĘDZIESZ KRZYCZEĆ. MUSZĘ TO ZROBIĆ, DLA

TWOJEGO WŁASNEGO DOBRA.

A niech to, Melhi, pomyślałem. Nie teraz. Nie chciałem się nawet domyślać, jak zhakował Wspólny Stan.

Wstałem i przykryłem wiadomość od Melhiego serwetką.

– Wyjdźmy.

– Wyjdźmy?

– Jedzenie mnie nie interesuje.

Wzruszyła ramionami, ale wstała.

– Jesteśmy jedynie mózgami unoszącymi się w odżywczych roztworach, jedzenie jest przyjemnością. Pomaga nam udawać.

Porzuciliśmy stolik, mijając zdezorientowanego służącego popychającego w naszą stronę wózek pełen jedzenia. Wróciłem do korytarza ze skrzynką, która uniosła mnie na ten poziom. Nie wsiadłem do niej jednak, lecz otworzyłem drzwi podpisane „Schody”.

Sophie ruszyła za mną.

– Cóż za cudowna zmiana wystroju – powiedziała, patrząc na klatkę schodową z zimnego kamienia.

Zacząłem wspinać się po stopniach.

– Te pantofle, które ludzie tu noszą, są absurdalne. Co jest nie tak z porządnyimi butami?

– Oprócz tego, że są szpetne?

– I mówi to kobieta na obcasach długości dłoni.

– Uważa się je teraz za bardzo modne. A moją wewnętrzną feministkę ogromnie złości, kiedy noszę je z taką sukienką.

Uśmiechała się szeroko.

– Jesteś niezwykłą kobietą.

– Kiedy człowiek dowiaduje się, że konserwatywny establishment zmusza go do bycia postępowym i liberalnym bojownikiem o powszechną równość wobec prawa, dzieją się dziwne rzeczy. – Również zaczęła wchodzić po schodach. – Musiałam się temu oprzeć, ale nie wiedziałam, kim mam się stać. Jedynym, co udało mi się wymyślić... czymś naprawdę trudnym... było zostanie całkowitą anarchistką. Zbudowali dla mnie doskonały świat, więc musiałam go spalić.

– Niszczenie nie jest trudne.

Na jej twarz wypłynął drapieżny uśmiech.

– Jest, jeśli walczysz przeciwko temu, czego pragnie Wode. To jedyny sposób, by być prawdziwym wojownikiem, by znaleźć prawdziwe wyzwanie. Oprzeć się im.

Chrząknąłem. Zgadzałem się z tym.

– Tak czy inaczej, o co chodziło z tymi słowami na obrusie?

– Widziałaś je?

– Oczywiście, że tak. Choć z początku myślałam, że ukrywasz flakonik trucizny. Ale to były tylko słowa.

– To była wiadomość – wyjaśniłem, kiedy dotarłem na następne piętro. – Od mojego

arcywroga.

– Arcywróg? – powtórzyła z rozbawieniem. – Co to ma być? Gimnazjum?

– Nie wiem, co to jest.

– Miejsce dla dzieci.

Przez chwilę nic nie mówiłem, jedynie opierałem się o balustradę schodów.

– Poważnie – powiedziała Sophie. – Jak można sobie zdobyć arcywroga? W domu nie pokonałeś jakiegoś smoka czy coś?

– To inny Żywozrodzony.

– Och, oczywiście. Uświadamiasz sobie, że robisz dokładnie to, czego chce Wode, prawda? Pojedynekujesz się z innym Żywozrodzonym, co odwraca uwagę was obu.

– Możliwe – przyznałem. – Z początku tak mi się wydawało, ale... wątpię, by Melhi zachowywał się zgodnie z ich oczekiwaniami.

– Co masz na myśli?

– To długa historia.

– A my mamy przed sobą dużo schodów, jeśli zamierzasz dotrzeć na szczyt.

Z westchnieniem wszedłem na kolejny stopień.

– Poznałem Melhiego w Stanie Granicznym...



Poznałem Melhiego w Stanie Granicznym, choć nie mogę mieć nawet pewności, że to z nim rozmawiałem.

Wjechałem do Stanu pełnym legionem w liczbie około pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy. W owym czasie Stany Graniczne były dla mnie nowością i wolałem nie ryzykować.

Podróżowałem na niewielkiej latającej platformie, szerokiej na jakieś pięć kroków. Miała wzniesiony przód i boki, jak rydwan – ale bez kół i konia. Zapewniała dość miejsca, by towarzyszyli mi Shale i Besk.

Moja awangarda już zabezpieczyła przyczółek na skraju dużej doliny, która obejmowała większość Stanu Granicznego. Kiedy przybyliśmy na miejsce, odwróciłem się i spojrzałem z góry na szeroki trakt wiodący przez las. Wkroczyliśmy na niego w dżunglach Evasti w moim Stanie. Po mniej więcej półgodzinnym marszu po zaczarowanej drodze drzewa zaczęły się zmieniać w te sosny i osiki. W końcu droga wypłuła nas tutaj.

– Opuściliśmy nasz świat – powiedziałem. Miałem na sobie błyszczący złoty napierśnik i hełm. – Dlaczego wciąż widzę Zorzę?

Obserwowałem ją przez chmury przez całą podróż, z przerażeniem wyczekując chwili, kiedy zniknie. Tak się nie stało. Owszem, wydawała się dziwnie odległa – migotała na swój majestatyczny sposób wysoko ponad szczytami gór za drzewami. Ale widziałem ją, a Przeszywający Wzrok potwierdził, że wciąż wyczuwam jej impulsy, choć tu były łagodniejsze.

– To fascynujące, Wasza Wysokość. – Besk trzymał przed sobą otwarty tom, przyciskając kartki, by nie łopotały na wietrze. – Ten Stan nie jest pełnym światem, składa się jedynie z tej doliny, którą otacza las. Na skraju lasu Stan się po prostu... rozplywa. Jeśli ktokolwiek uda się w tamtą stronę, zgubi się we mgle i wyłoni na drugim końcu doliny!

Shale chrząknął.

– W takim razie jedynym wyjściem jest...

– Tak, droga, którą przybyliśmy. – Besk wskazał ręką. – I jeszcze dwie podobne, prowadzące do światów innych Żywozrodzonych. Nie można poruszać się tymi zaczarowanymi ścieżkami bez pomocy Żywozrodzonego, a w samym Stanie mieszkają jedynie Symulowane Jednostki. Istnieje wyłącznie po to, byśmy go odwiedzali.

– Albo podbili. – W myślach kazałem platformie się podnieść.

Wzniosła się efektownie, poszybowała w niebo wysoko nad moją armią, choć dwa tuziny podobnych – obsadzonych przez moich najlepszych łuczników – podążyły za nią, by

zapewnić mi ochronę. Od spodu każdy latający rydwan wyglądał identycznie – armie próbujące mnie zestrzelić nie wiedziałyby, na którym z nich się znajduję.

Z tej wysokości widziałem mgłę, o której wspomniał Besk, pochłaniającą las za naszymi plecami i rozciągającą się po góry, które wydawały się jedynie dekoracją. Zastanawiałem się, czy dałoby się dotrzeć do nich w locie.

Mimo że Stan kończył się na tych lasach, zajmował całkiem spory obszar. Ledwie widziałem krawędź kręgu mgły po drugiej stronie lasu. Gdyby okazało się to konieczne, mógłbym zgromadzić tu swoją armię i utrzymać pozycję, jednocześnie blokując dwa pozostałe wyjścia. Bez wątplenia moglibyśmy wykorzystać naturę tego Stanu – gdybym musiał pośpiesznie przenieść wojsko na drugą stronę pola bitwy, wystarczyłoby, bym kazał im wycofać się w mgłę.

Właściwie wszystko wydawało się aż nazbyt idealne. Myśl, że odkryłem miejsce takie jak to właśnie teraz, kiedy cały świat był już mój, dręczyła mnie. Jak ból pleców, którego nie mogłem się pozbyć. Sądziłem, że zakończyłem swoje dzieło, ale jeśli istniało wiele takich Stanów Granicznych, to miałem jeszcze dużo do podbicia.

Opuściłem platformę z powrotem w stronę pierwszych szeregów mojej armii. Tubylcy z tego Stanu Granicznego byli prymitywnie uzbrojeni – we włócznie i drewniane tarcze. Ich skóra miała ciemnofioletowy odcień. Spojrzałem na Beska.

– Nasi pierwsi zwiadowcy twierdzą, że odcień skóry jest skutkiem spożywania dużych ilości przyprawy wytwarzanej przez miejscowe drzewa. Przyprawa ta czyni z nich doskonałych wojowników, zdolnych walczyć całymi godzinami i wracać do zdrowia po odniesieniu ran, które powinny być śmiertelne. Ponadto wydaje się, że mają dostęp do dziwnego metalu wydobywanego gdzieś w tej dolinie, o którym nie chcą jednak rozmawiać. Te włócznie przecinają stal jak masło, Wasza Wysokość.

– Byliby z nich doskonali poddani, Kai. – Shale spojrzał na tubylców ustawionych w bojowym szyku. Wydawali się całkowicie przytłoczeni przez moją armię i pełni podziwu dla latających platform. – Twój generałowie skarżyli się, że potrzebują więcej elitarnych żołnierzy. A ten metal... – Wyczuwałem tęsknotę w jego głosie. – Nie możemy ciągle polegać na zaczarowanych mieczach, jak sam powiedziałeś. Ładowanie Kamienia Zorzy marnuje twój czas.

– Zapewnienie sobie co najmniej korzystnych umów handlowych z tą doliną przyniosłoby również korzyści natury innej niż militarna, Wasza Wysokość – dodał Besk. – Wasi uczeni są podekscytowani odkryciem tej przyprawy. Jej lecznicze działanie mogłoby ocalić życie tysiącom.

– Owszem, jeśli chce się zmienić każdego dzieciaka ze złamaną nogą w doskonałego żołnierza. – Shale podrapał się po brodzie. – Właściwie to nie musi być takie złe...

– Przyprawa wymaga długotrwałego stosowania, zanim objawią się te zdolności, Shale – stwierdził Besk.

– Mówisz więc, że będę musiał połamać dużo nóg, co?

Ignorowałem ich przekomarzanki, choć mnie cieszyły. Ostatnio Shale w obecności Beska zachowywał się potulnie. Skupiłem się na przywódcach tubylców, trzech kobietach

z włóczykami, o twarzach pomalowanych na biało i czerwono. Wkroczyłem w Przeszywający Wzrok i sięgnąłem do Zorzy. Energia była leniwa, fale gorąca chłodniejsze niż zwykle, ale moja magia wciąż działała. Otoczyłem nasz rydwan niewielką przezroczystą bańką, zanim opuściłem go, by unosił się przed tubylcami. Bańka miała odbijać wszelkie ataki i przeobrażać przechodzące przez nią dźwięki tak, że...

– Witajcie – powiedziała jedna z kobiet.

Rozumiałem te słowa w swoim języku, Przeszyta tarcza działała jak tłumacz.

– Macie się do niego zwracać „Wasza Wysokość” – powiedział Shale.

– On nie jest naszym panem – odparła kobieta. – Owszem, jego siły robią wrażenie, ale jeśli zamierza podbić tę dolinę silną ręką, zobaczy, jak słaby jest jego uścisk.

– Z pewnością – odezwał się Besk – dostrzegacie korzyści sojuszu z nami! Wasi wojownicy, choć dumni, patrzą z podziwem na nasze latające maszyny. Bądźcie pewne, że cesarz Kairominas mógłby was podbić, gdyby tylko zechciał. Ale czemu miałybyście go zmuszać? Z pewnością możemy dojść do porozumienia.

Kiedy rozmawiali, uświadomiłem sobie, że wiem, co powiedzą przywódczyni. Nie dlatego, że czytałem w ich umysłach, ale ponieważ coś w tej sytuacji wydawało mi się oczywiste. Ukryta dolina, drogi do różnych Stanów szeptały mi o celu tego miejsca.

– Powinniście wiedzieć, że... – zaczęła mówić przywódczyni.

– Gdzie on jest?

– Kto?

– Ten drugi Żywozrodzony – odparłem. – Zamierzałyście mi powiedzieć, że poznałyście innego, podobnego do mnie. Czy wciąż tu jest?

Shale i Besk patrzyli na mnie, jakbym oszalał, ale tubylcza kobieta nie była zaskoczona moją prośbą.

– Wode – wyjaśniłem swoim towarzyszom. – Pozwolili nam odkryć to miejsce. Stworzyli je, by graniczyło z kilkoma Stanami i zawierało cenne surowce, których wszyscy będziemy pożądać. Zwycięzimy tutaj nie wtedy, gdy przekonamy tych ludzi, ale jeśli pokonamy innych Żywozrodzonych. – Spojrzałem na kobietę. – To właśnie zamierzałaś zaproponować, prawda? Widziałaś naszą chwałę i wiesz, że nie unikniecie podbicia. Możecie jedynie zdecydować, któremu Żywozrodzonemu służyć.

– Dokonamy wyboru – odparła z niezadowoleniem. – Udowodnij swoją wartość w walce z pozostałymi, a zdobędziesz naszą lojalność. Wtedy nazwiemy cię naszym królem, obcy, nie wcześniej.

Taki był jej Koncept. Odważny, ale pragmatyczny wódz. Dostrzegła prawdę w tych inwazjach. Bez wątpienia, gdybym zdobył jej lojalność, okazałaby się wiernym i potężnym sojusznikiem. Aby to osiągnąć, musiałem zrobić coś, czego nie robiłem wcześniej. Pokonać innego Żywozrodzonego.

Czułem się podekscytowany tą perspektywą. W owym czasie w moim królestwie od dwudziestu lat panował pokój. Pragnąłem czegoś nowego, wyzwania, którego mój Stan nie mógł mi zapewnić.

Inny Żywozrodzony. Inny cesarz, jak ja. To byłby wróg inny niż wszyscy, z którymi

dotychczas skrzyżowały się moje ścieżki.

– Powtarzam pytanie – zwróciłem się do kobiety. – Czy on wciąż tu jest?

– Tak.

Czułem coraz większą ekscytację.

– Gdzie?

– W naszej wiosce. Jeśli chcesz się spotkać z emisariuszem, musisz się tam udać w naszym towarzystwie.

– To nie... – zaczął mówić Shale.

– Tak zrobimy.

Opuściłem rydwan.

Shale nie był zachwycony. Besk też nie, gdyż kazałem mu pozostać z armią i przejąć dowodzenie, gdyby coś poszło nie tak. Nie martwiłem się. Póki miałem za sobą Zorzę, sam byłem chodzącą armią.

Wódz, która powiedziała, że nazywa się Let-mere, wprowadziła nas przez drewnianą palisadę do wioski składającej się z bud i kamiennych chat. Jej mieszkańcy mieli skórę w znacznie jaśniejszym odcieniu fioletu – najwyraźniej przyprawa wojowników była zarezerwowana dla klas wyższych. Nie musiałem pytać, by wiedzieć, że wiele pokoleń spędzało czas, walcząc z innymi plemionami w tym Stanie, doskonaląc się w sztukach wojennych i wierząc, że nie istnieje nic poza ich doliną.

Dołączyłem do tubylczej straży honorowej i wkroczyłem do ich wioski, gdzie czekał stwór, którego później poznałem jako Melhiego.



Zatrzymałem się na szczycie schodów.

– I? – spytała Sophie, wchodząc za mną po ostatnich kilku stopniach.

Dotarliśmy do drzwi, które – jak miałem nadzieję – prowadziły na dach, ale były zamknięte łańcuchem. Wszedłem w Przeszywający Wzrok i sięgnąłem do Zorzy, by...

Nie. A niech to. Nie umiałem się oduczyć przyzwyczajęń z dwóch stuleci, w czasie których miałem w zasięgu ręki moc stworzenia.

– Proszę. – Sophie wyjęła coś z torebki, kiedy opuściłem Przeszywający Wzrok. Malutki pistolecik. – Zasłoń uszy, cesarzu.

– To nic nie da. – Mimo wszystko włożyłem zatyczki do uszu, przypominając sobie, jak głośno brzmiały wystrzały wcześniej tego wieczoru. – Pistolety zostały przeprogramowane, by strzelać tylko farbą...

Przerwał mi niemal ogłuszający wystrzał. Ponieważ tym razem nie przejąłem bezpośredniej kontroli nad swoimi przyspieszeniami umysłu, nagły wybuch je uruchomił. Patrzyłem w zwolnionym tempie, jak łańcuch się rozpada. Pistolet Sophie bez wątpienia nie strzelał kulkami farby.

Odsłoniłem uszy w chwili, kiedy schowała pistolet.

– One tu nie powinny działać – zauważyłem.

– Jestem dobra w robieniu rzeczy, których nikt po mnie nie oczekuje.

Kopnięciem otworzyła drzwi.

„Nie ma możliwości, żeby kopnęła tak mocno w tych obcasach”, pomyślałem do Beska. „Ma jakieś wzmocnienie: albo zwiększoną siłę nóg, albo te buty to iluzja”.

Żadnej odpowiedzi.

„Besk?”

Milczał. Kiedy słyszałem go po raz ostatni?

To wydawało się złowieszcze. Czy powinienem uciekać?

Nie bądź głupi, powiedziałem sobie. Przeżyłem całe stulecia bez Beska patrzącego mi przez ramię. Mimo wszystko byłem odrobinę czujniejszy, kiedy wyszedłem na dach.

Padało, ale deszcz był jedynie delikatną mgiełką.

– Czy tam, skąd pochodzisz, wspinanie się po schodach uważa się za romantyczną randkę? – Sophie przespacerowała się po dachu.

– Dach jest miejscem, w którym nie powinno nas być. – Dołączyłem do niej na skraju dachu, przy barierce, która nie pozwalała nam przypadkowo spaść. – Pomyślałem, że to ci się spodoba.

– Nie możemy udać się do miejsca, w którym nie powinno nas być. Każdy Stan, każdy jego cyfrowy cal, został stworzony dla nas. – Zawahała się. – Ale wątpię, by Wode się tego po nas spodziewało, więc jestem zadowolona. Nawet jeśli wspinaczka była irytująca.

– Nawet się nie zdyszałaś. Masz wzmocnienia.

Jedynie się uśmiechnęła.

Odetchnąłem głęboko wilgotnym powietrzem. Od jak dawna nie byłem na zewnątrz w deszczu? Zawsze tworzyłem wokół siebie pola siłowe, które chroniły mnie przed żywiołami.

– Może nie powinni nam mówić – odezwałem się. – O tym, że nasze rzeczywistości to symulacje.

– Nie bądź głupi. Niewiedza nie byłaby lepsza.

– Nie wiem...

– Powinieneś się złościć na kłamstwa, oszustwa.

– Dlaczego? Kiedy osiągamy odpowiedni wiek, mówią nam prawdę, a wszystko, co robią, ma uczynić nasze życie lepszym.

– Jesteśmy jak szczury w klatkach. – Oparła się o balustradę i spojrzała na ciemne miasto pełne światełek migoczących w mżawce. – Jest piękna, ale mimo wszystko to klatka.

– Być może. – Oparłem się obok niej. – Ale nie mogę wzbudzić w sobie złości na Wode. Bez tego systemu żadne z nas by prawdopodobnie nie istniało. Ziemia nie utrzymałaby tak wielkiej populacji. Mamy dobre życie. Każdy mężczyzna jest bohaterem, każda kobieta przywódczynią. To po prostu...

– Wydaje się wyblakłe? Jakbyśmy żyli w filmie?

Nie wiedziałem, czym był film, ale i tak pokiwałem głową.

– Ale część z tego z pewnością musi być prawdziwa, Sophie. Moje osiągnięcia, moja wiedza. Nawet wewnątrz fałszywej konstrukcji coś osiągnąłem. Ocaliłem życie wielu.

– Fałszywe życie.

– Ludzi. Chroniłem ich. Bohaterstwo jest prawdziwe.

– Bohaterstwo? Nie możesz umrzeć, cesarzu. Czy jest w tym coś bohaterskiego? Rzucają do wody papierowe ludziki, a ty nurkujesz za nimi dumny, że ocaliłeś paru, choć Wode mogłoby stworzyć miliard kolejnych dosłownie pstryknięciem palców... a nawet wskrzesić tych, którzy umarli. Jeśli chodzi o twoje „osiągnięcia”, zakładam, że zawiesili ci coś przed nosem, jakąś wyjątkową umiejętność, którą tylko ty mogłeś poznać i rozwijać.

– Nazywamy to Przeszywaniem – przyznałem. – Ty nazwałabyś je magią. Starąłem się poznać jego najgłębsze tajemnice.

– Dla mnie marchewką była sama natura Stanów. – Nie zwracała uwagi na to, że deszcz niszczy jej fryzurę i makijaż. – Chciałam poznać prawdę o rzeczywistości. Skłaniali mnie do nauki. Im więcej wiedziałam, tym bardziej uświadamiałam sobie, jak głęboko sięga ich iluzja. Nawet to wykorzystywali przeciwko mnie, dostarczali mi nowe informacje, kawałek po kawałku. Żebym pozostawała zainteresowana, zaciekawiona. Tak bardzo się starają, byśmy czuli, że nasze życie ma sens.

– Trudno mieć do nich pretensję o coś takiego.

– Im też nie ma co zazdrościć. To znaczy Wode. Są jedynie dozorcami. Codziennie jedzą pozbawioną smaku zupę i siedzą przy terminalach. – Postukała w balustradę. – Powiedziałam, że powinieneś się złościć. Ja też. Ale jeśli mam być szczerą, ostatnio trudno mi się na cokolwiek wściekać.

– I dlatego...

– Dlatego po prostu robię, co tylko zechcę. Wymyślam konflikty, wywołuję wojny. Wykorzystuję wszystko, co pozwala mi czuć. Miałam wielką nadzieję, że dziś cię znienawidzę, bo przewidywania zgodności sugerowały, że nigdy się nie dogadamy.

– Miały rację?

– Niestety nie.

– Niestety?

– Jak mówiłam, konflikt jest interesujący.

– Mogę cię uderzyć, jeśli wolisz.

Staliśmy w milczeniu, a wtedy coś sobie uświadomiłem. Nie bez powodu ostatnio nie wychodziłem na deszcz. Było zimno i nieprzyjemnie, a ja nie miałem marynarki ani kapelusza. Może one by pomogły.

– To głupota – powiedziałem. – Muszę to załatwić i wracać do swoich poddanych.

– Ach tak. To typowe.

– Co chciałaś przez to powiedzieć?

– Pasujesz do archetypu. Oto prowadzimy głęboką rozmowę o pozbawionej znaczenia naturze naszego życia... a jednak ty wciąż chcesz jak najszybciej wrócić do bycia królem.

– Jestem, kim jestem.

– To znaczy tym, kim cię uczynili. Masz swój własny Koncept, podobnie jak wszystkie Symulowane Jednostki.

– Jestem prawdziwy – warknąłem. – I nie zamierzam po prostu porzucić swojego królestwa tylko dlatego, że przeżywam kryzys egzystencjalny.

– Pewnie to szlachetne. Sztucznie wyprodukowana szlachetność, nazwa firmowa z malutkim symbolem zastrzeżonego znaku towarowego w rogu, ale wciąż pokrewna tej prawdziwej.

Sięgnęła do tyłu i rozpięła suwak na plecach sukienki.

– Ja... co ty wyprawiasz?

– Po to tu jesteśmy, prawda? – Wysunęła jedną rękę z ramiączka sukienki. – Żeby Wode dało nam święty spokój? Mamy przedłużyć gatunek, by koło wciąż mogło się obracać.

– Tutaj, na deszczu?

– Pewnie. Nie musi być ładnie, wystarczy, że się wydarzy. Uprawiamy seks w tej małej cyfrowej skrzynce, a Wode łączy nasze geny i tworzy z nich nowe dziecko. Pozwolę ci wybrać początkowy archetyp dzieciaka. Ja pewnie wybrałabym dla niego coś koszmarnego, tylko po to, by było interesująco.

Sukienka zsunęła się z jej piersi – nie miała nic pod spodem. Zauważyła moją

zaskoczoną minę, kiedy sięgała do tyłu, by pociągnąć suwak, który zablokował się w połowie jej pleców.

– O co chodzi? Nigdy nie widziałeś nagiej kobiety?

– Nie widziałem? Kiedyś miałem harem, Sophie.

– Jakie to zaskakujące. Mężczyźni. – Ale i tak się zarumieniła. – Mizoginiczni, koszmarni, prymitywni.

– Myślisz o tym, jak twoje młodsze wcielenie feministki zareagowałoby, gdybyś przespała się z mężczyzną, który utrzymywał harem.

– Oczywiście, że tak. Jak długo przeraża mnie, co robię, muszę być na właściwym tropie. Możesz mi pomóc z tym przeklętym suwakiem? Deszcz...

Podszedłem, by jej pomóc. Mimo deszczu było mi gorąco. Sięgając do suwaka, musnąłem ręką jej nagie ramię. Jej gorąco i moje, mieszające się.

Na Panów, uświadomiłem sobie. Od lat nie czułem takiego pożądania. Dziesięcioleci.

– Żałuję, że nie możemy zrobić czegoś z tym deszczem – powiedziała. – Trochę będzie nam przeszkadzał.

– W swoim Stanie prawie zapanowałem już nad pogodą. Będę wszechpotężny, kiedy w końcu to zrozumie.

– To znajdą ci coś innego do roboty. Oni zawsze to robią...

Całe miasto zadrzało.

Znieruchomiałem z ręką na suwaku, który rozpiąłem już prawie do końca. Miasto znów zadrzało. Deszcz zaczął padać gwałtowniej, w nagły i nienaturalny sposób, jakby ktoś odkręcił prysznic. Oboje byliśmy przemoczeni.

Rozległo się trzecie uderzenie, trochę cichsze niż wcześniejsze.

– To nienaturalne. – Sophie się odwróciła. Była na wpół naga, a woda płynęła po jej ciele. – Co...

Nad ciemnymi dachami miasta coś się wznosiło. W głowie wielkiej jak budynki płonęły czerwone oczy. Masywny stwór kroczył przez ciemność, a na jego skórze odbijały się błyskawice, które od czasu do czasu przesywały niebo.

Jęknąłem.

– Pamiętasz, jak wspomniałem o swoim arcywrogu?

– Owszem. O ile pamiętam, wciąż jesteś mi winien opowieść.

– Cóż, on obiecywał mi nowego robota.

Pośpieszyłem przez dach w stronę miejsca znajdującego się najbliżej maszyny. Wciąż była odległa, ale przepychała się między budynkami, kierując się w naszą stronę. Każdy jej krok odbijał się echem.

– A niech to. – Sophie dołączyła do mnie, ręką podtrzymywała sukienkę. – Wydaje mi się, że ludzie nie powinni móc dokonać inwazji na Wspólny Stan.

Była wciąż prawie naga. Jej mokre ciało w deszczu, a z drugiej strony machina śmierci – jedno i drugie wydawało się w podobny sposób dziwnie kuszące.

Czuję się znów młody, uświadomiłem sobie. Jak przed zjednoczeniem.

– I co? – spytała.

– Ja...

– Piersi później, wielki robot teraz. Ten twój arcywrog, on jest dobry w hakowaniu?

Zmusiłem się, by podnieść wzrok na jej twarz.

– Aż za dobry.

– Zgadza się. – Podciągnęła przemoczoną sukienkę. – Jeśli umie zhakować Wspólny Stan... Cóż, mamy wybór. Możemy albo uciekać przed nim do chwili, gdy Wode go dopadnie za rażące naruszenie granic, albo możemy po prostu udać się do innego Wspólnego Stanu i tam załatwić nasze sprawy. Bardziej skłaniam się ku drugiemu rozwiązaniu.

– Nie. – Nasłuchiwałem uderzeń. Na ulicach rozległy się krzyki. – Ludzie umierają. Nie zostawię tu tego stwora z nadzieją, że Wode go powstrzyma.

– Poważnie? Zamierzasz zaatakować to coś? Jak?

– Znajdę sposób.

Ruszyłem w stronę schodów.

– Wy, mężczyźni z fantastycznych światów, jesteście takimi harcerzykami. – Ruszyła za mną. – Zaczekaj, niech włożę tę przeklętą sukienkę. W tym Stanie bycie Żywotrodzoną nie oznacza, że nie zostanę aresztowana za obrazę moralności publicznej.

Czekałem przy schodach, przestępując z nogi na nogę, gdy ona podciągała sukienkę. Zejście na parter tego budynku musiało potrwać.

– Powinienem się tego spodziewać – stwierdziłem, kiedy weszła na klatkę schodową. – Wcześniej straciłem kontakt ze swoim kanclerzem. Założę się, że Melhi jakoś go odciął.

Ruszyliśmy w dół po schodach. Teraz, gdy Melhi zhakował ten Stan, nie ufałem skrzynce na drutach.

– Odciął twoje mentalne połączenie. Niebezpieczne. To powinno cię ostrzec.

– Byłem rozproszony.

– W takim razie wracajmy do twojego Stanu. Pewnie wytrzymam obecność śpiewających drzew i elfów dość długo, by pójść z tobą do łóżka.

– Nie odejdę stąd. – Wciąż biegłem po schodach. – On zrówna to miasto z ziemią, żeby mnie odnaleźć.

– Dlaczego? Co takiego mu zrobiłeś?

Popatrzyłem na nią.

– Nie jestem pewien.

– Że co?

– Chodź. Wyjaśnię ci to po drodze. Pamiętasz, jak odwiedziłem tamten Stan Graniczny? Cóż, udałem się do wioski, żeby się z nim spotkać...



Wszedłem do wioski, żeby się z nim spotkać, a wtedy z jednej z chat wyszedł stalowy mężczyzna.

Zdarzało mi się tworzyć golemy z kości zmarłych ożywionych mocą Zorzy. Metal okazał się jednak bezużyteczny, przynajmniej dla mnie. Dlatego byłem bardzo zainteresowany, kiedy ta istota wyszła na słońce. Tubylcy niepewnie wycelowali w nią włócznie. Wódz Letmere ostrzegła mnie, że kiedy ten stwór po raz pierwszy pojawił się w dolinie, zabił dziesiątki mieszkańców innej wioski, po czym się wycofał.

Nie miał oczu ani ust, jedynie płaską twarz z wypolerowanego brązu przypominającą maskę. Poza tym przypominał kształtem człowieka, ale z czystej srebrzystej stali.

Zwrócił bezoką twarz w moją stronę.

– Ach. – Głos brzęczał metalicznie, był wyraźnie nieludzki. – Jesteś więc tym, z którym mam walczyć o to miejsce?

– Kim jesteś? – spytałem.

Shale wyciągnął miecz i zrobił krok do przodu, ale gestem kazałem mu się cofnąć.

– Jesteś istotą z metalu?

– Jestem Żywozrodzonym, jak ty. – Melhi obejrzał mnie od stóp do głów. – To zaledwie jedna z postaci, jakie wykorzystuję. Jesteś z Fantastycznego Stanu? Naprawdę sądzą, że to będzie wyzwanie? Moje legiony robotów potrzebowałyby jedynie kilku godzin, by unicestwić...

Odwrociłem się i ruszyłem przed siebie.

Nie umiem powiedzieć, co mnie do tego skłoniło, ale chyba czysta dogodność tego wszystkiego. Idealna lokalizacja do prowadzenia wojny, w której mój Stan nie byłby zagrożony? Miejsce z doskonałymi pozycjami taktycznymi, wprost dla mnie? Zasoby przydatne dla każdego, kto jako pierwszy zdobyłby stan, ale trzech – nie dwóch – Żywozrodzonych, by zachęcać do zawierania sojuszy?

Falszywość tego wszystkiego była jak policzek. Oto byliśmy – dwaj absolutni władcy całych światów – wmanewrowani, by stanąć naprzeciwko siebie i gardłować? Jak wojownicy przechwalający się dawnymi dokonaniem, by zrobić wrażenie na dziewczce w gospodzie?

Jednakże tego dnia zobaczyłem wreszcie, jak jest naprawdę. To była arena, a my byliśmy parą psów wrzuconych do środka, by zobaczyć, który jako pierwszy zrani drugiego. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego.

Dlatego odszedłem.

– Co to ma znaczyć? – spytała wódz Let-mere, kiedy ją mijalem.

– Będziecie musieli zawrzeć sojusz z istotą z metalu. – Machnąłem ręką. – Ja nie jestem zainteresowany.

– Ale...

– Boisz się, mały cesarzu?! – zawołała za mną istota z metalu.

– Tak – odparłem, odwracając się, choć to nie jego się bałem.

Może chodziło o kruchość mojego ego. Mogłem udawać, musiałem udawać, póki przebywałem w swoim Stanie. Podróżowanie do innego, szczególnie tak zaaranżowanego jak ten... Nie, tego nie mogłem zrobić. Jeszcze nie.

– Jest twój – powiedziałem. – Chyba że trzeci Żywozrodzony już się dowiedział. Możesz z nim walczyć. Tańczyć dla Wode. Być ich marionetką. Ja nie.

– Nie jestem marionetką! – wykrzyknęła robotyczna skorupa. – Słyszysz mnie, fantastyczny człowieku? Nie jestem marionetką!



– Jestem pewien – powiedziałem, kiedy zdyszany dotarłem do kolejnego półpiętra – że poczuł się urażony, iż nie chcę z nim walczyć. Oddałem mu Stan Graniczny, a on go po prostu splądrował... ukradł ich zasoby i wymordował większość ludzi. Musiałem znów otworzyć przejście ze swojej strony i wysłać pomoc dla tych tubylców, którzy pozostali przy życiu. Jakies dziesięć lat później zaatakował kolejny Stan Graniczny niedaleko mnie i tym razem sumienie nie pozwalało mi go zignorować. Od tamtej pory co jakiś czas się potykamy. Czyli przez dwadzieścia lat, trzydzieści od naszego pierwszego spotkania. Ostatnio nawet zaczął najeżdzać mój Stan, choć jego roboty nigdy nie działają w nim właściwie.

– Hm... – mruknęła Sophie. Dotarliśmy już prawie na parter. – Wiesz oczywiście, że walka z nim tutaj to szaleństwo.

Nie odpowiedziałem.

– Jego roboty będą działać w tym Stanie. – Głos Sophie odbijał się echem od ścian klatki schodowej. – Maltanka ma telefony w zegarkach i inne rzeczy, których prawdziwy świat w podobnym okresie nie mógł mieć. Te elementy science fiction są czymś, co twój przyjaciel może wykorzystać, oszukać programy, by pozwoliły jego maszynom działać. Założę się o wszystko, że ta maszyna będzie niebezpieczna, naprawdę niebezpieczna. Zabezpieczenia Wode nie będą na nią wpływać.

Pokiwałem głową. Dotarliśmy na drugie piętro i wkrótce mieliśmy znaleźć się na dole.

– Powiedz mi więc, dlaczego wciąż zamierzamy walczyć? – spytała ostro Sophie zza moich pleców. – Wynośmy się stąd.

– Posłuchaj. – Odwróciłem się gwałtownie w jej stronę. – Robię to, bo wiem, że muszę, jasne? Jeśli to, o czym rozmawialiśmy, jest prawdą i jeśli wcześniej wszystkiemu, co robiłem, towarzyszyła siatka zabezpieczająca... to nie wiem, nie mogę wiedzieć, kim jestem. Stawienie czoła innemu Żywotodzonemu w tym miejscu jest sposobem, by tego dokonać.

Zatrzymała się na schodach. Wokół jej stóp zbierała się na stopniu woda.

– Mówisz poważnie, prawda?

– Jak diabli. Zaczekaj tutaj. Zaprowadzę go do jakiegoś mniej zaludnionego miejsca.

– Zaczekać tutaj? – Podążyła za mną, kiedy znów ruszyłem po schodach. – Zaczekać tutaj?! Nie jestem jedną z tych twoich bezmyślnych dziewoi w kolczym bikini, panie Cesarzu. Jeśli już zapomniałeś, też władałam światem i nie potrzebowałam absolutnej władzy dyktatorskiej, by to osiągnąć. Ja...

- W porządku. Umiesz walczyć?
- Nie za dobrze.
- W takim razie co zamierzasz robić?
- Hakować.

To mogło okazać się przydatne.

- Co umiesz zrobić?
- Sprawić, żeby broń palna działała, rzecz jasna.
- Potrzebujemy czegoś więcej. Czy mogłabyś sprawić, żeby moja magia zadziałała?
- To kawał roboty, dzieciaku. Ten stan jest bardzo niemagiczny. Jak już mówiłam, nawet robot jest tu o wiele bardziej naturalny niż magia.
- Jasne, ale czy możesz to zrobić?
- Pewnie mogłabym spróbować. Chodźmy do miejsca, w którym robot wszedł do Stanu.
- A to ma jakieś znaczenie?

– Nie powinno. – Szła za mną, nasze buty stukały na surowym kamieniu. – Formalnie rzecz biorąc, to wszystko kod, w którym nie ma czegoś takiego jak bliskość. Ale zgodnie z naturą tego systemu, jeśli zbliżymy się do punktu wejścia, „zbliżymy” się do miejsca, w którym twój przyjaciel przebił się przez zabezpieczenia Stanu. Materia będzie tam osłabiona, a istnieje spora szansa, że nie za dobrze zatarł za sobą ślady. Niechlujne kodowanie ułatwi mi podczepienie paru moich poprawek.

- W porządku.
- Równie dobrze mogłabym gadać do jakiegoś jaskiniowca, co?
- Fantastyczny nie znaczy prymitywny.
- Oho. Czy ty w ogóle widziałeś kiedyś komputer?

Mogłem je sobie wyobrazić. Jaskrawe światła, fale energii – jak błyskawice – dające moc maszynie.

– Spróbuję mówić jak najprościej. Jeśli w ogóle uda mi się zmusić twoją magię do działania, to tylko w miejscu, w którym robot się przebił. Wtedy będziesz mógł wezwać tego swojego gadającego konia czy cokolwiek i rozwalić magicznymi tęczami tę kompensującą poczucie niższości maszynę.

Wreszcie dotarliśmy na parter i wyszedłem na śliską od deszczu ulicę, za mną podążyła Sophie. Zacząłem biec w stronę robota, ale ona skręciła w bok, kierując się do jednego z tych pojazdów bez koni. Stało ich tam dużo i wszystkie były puste.

Czując się głupio, ruszyłem za nią. Weszliśmy do środka, a ona sprawiła, że to coś zaczęło warczeć. Zadrżało jak budzące się zwierzę.

- Czyli ono naprawdę jest żywe – powiedziałem.
- Jasne, myśl tak dalej, dzieciaku.

Otrząsnęła deszcz z włosów i sprawiła, że pojazd zaczął się ruszać. Szybko.

Wrzasnąłem i złapałem się wszystkich uchwytów, jakie tylko udało mi się znaleźć. Popędziliśmy ulicą, o wiele szybciej niż mógłby galopować koń. Ale też – moim zdaniem – nad tym pojazdem o wiele mniej panowaliśmy.

- W tych Stanach wszystko jest takie niecywilizowane!

– Niecywilizowane?! – odkrzyknęła.

– Pistolet, który zniszczył łańcuch, a teraz to. Nie ma żadnej elegancji, jedynie brutalna siła. Uważaj na tych ludzi! Na Panów!

Z absurdalną prędkością pokonała zakręt. Dobry koń nigdy by nam nie pozwolił tak bardzo utracić panowania nad sobą, a moje latające rydwany były cudownie precyzyjne. Ominęliśmy z boku robota kroczącego z trzaskiem przez miasto i wciąż kierującego się w stronę budynku, w którym jedliśmy kolację. Nie zobaczył, jak go mijaliśmy.

Nie może mnie bezpośrednio śledzić, pomyślałem. Coś musiało mu zdradzić miejsce mojego pobytu.

Cóż, zarezerwowany stolik – i moja twarz na liście tych, którzy mieli prawo wejść – nie były trudne do wyśledzenia. Wyjąłem pistolet z wewnętrznej kieszeni płaszcza.

– Możesz sprawić, żeby zadziałał?

– Wątpię, żebym chciała być w pobliżu, kiedy będziesz z niego strzelał.

– Nie zamierzam wycelować go w twoją głowę, Sophie – odparłem oschle. – Spraw, żeby zadziałał.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go palcem. Zdążyłem już pożałować, że ją rozproszyłem, kiedy prawie wjechaliśmy w grupę ludzi uciekających przed robotem, ale w ostatniej chwili skręciła.

– Gotowe. – Zdjęła palec. – Jest znów naładowany i strzela teraz prawdziwymi kulami. Prosta robota.

– Cóż, ktoś i tak zauważył.

Robot zwrócił w naszą stronę swoją ogromną głowę z czerwonymi oczami. Melhi nigdy wcześniej nie nasłał na mnie czegoś tak dużego.

– A niech to – mruknęła Sophie. – Twój przyjaciel pewnie monitoruje ten Stan w poszukiwaniu nieprawidłowości. Cokolwiek zrobię, ostrzeże go.

Przycisnąłem dłoń do szyby po mojej stronie metalowego powozu.

– Czy mogę...

– Dźwignia na drzwiach. Pokręć nią.

Kiedy kręciłem dźwignią, szkło się opuszczało. Sprytne. Wychyliłem się i wycelowałem pistolet w robota, po czym wystrzeliłem szybko trzy razy. Przy pierwszym strzale uruchomiły się moje przyspieszenia umysłu, spowalniając dla mnie czas.

Jak się spodziewałem, stwór zaczął powoli kroczyć w naszą stronę, a jego oczy śledziły nasze poruszenia. Dzięki wystrzałom mogłem mnie zlokalizować – w tym Stanie pistolety nie miały strzelać prawdziwymi kulami, więc pozostawiłem ślad na materii Stanu.

– Po co to zrobiłeś? – spytała ostro Sophie.

– Chcę, żeby za nami ruszył.

– Po kiego diabła?

– Bo jeśli ruszy w tę stronę, przejdzie przez rejon, który już mijaliśmy. W ten sposób ograniczymy zniszczenia. Poza tym musi być blisko, jeśli mam go pokonać.

Wystrzeliłem jeszcze kilka razy, upewniając się, że robot wciąż kroczy za nami. I w rzeczy samej, nawet przyspieszył kroku. Przełknąłem ślinę i znów schowałem się

w pojeździe.

– Nie mogę uwierzyć, że to mówię... ale czy te pojazdy mogą jechać szybciej?

Najwyraźniej tak. Sophie uśmiechała się szeroko, a ja trzymałem się ze wszystkich sił.

– Tutaj – powiedziała.

Przed nami – na wysokości około trzech metrów nad powierzchnią drogi, w otoczeniu ruin miasta – powietrze migotało perłowym blaskiem, który wyraźnie nie pasował. Kojarzył mi się z Wielką Zorzą, choć kształtem przypominał większą wersję portalu, przez który przybyłem do tego miejsca.

Sophie zatrzymała pojazd. A w każdym razie przestała go prowadzić – on jednak nie zatrzymał się do końca, lecz prześlizgnął się bokiem po ziemi i uderzył w budynek. Wstrząs uderzenia sprawił, że prawie zwymiotowałem.

– Oszalałaś – stwierdziłem.

– Chyba już to ustaliliśmy.

Niepewnym krokiem wy dostała się z metalowego powozu, ale wciąż się uśmiechała.

Ruszyłem za nią na trzęsących się nogach. Robot zbliżał się szybciej, niż przewidywałem, a niestety ta okolica nie ewakuowała się tak prędko, jak miałem nadzieję. Mimo deszczu i niebezpieczeństwa w ruinach budynków kuliły się rodziny. Zapłakana dziewczynka, najwyżej czteroletnia, ciągle pytała matkę, dlaczego ziemia się trzęsie.

Muszą żyć w świecie, który zna tylko ciemność, pomyślałem. Żeby Żywozrodzeni mieli gdzie się bawić.

Niepewnym krokiem oddaliłem się od nich, podążając za Sophie w stronę pęknięcia.

– Daj mi rękę – powiedziała, kiedy dotarliśmy do migoczącego blasku.

Wypełniłem jej polecenie, a ona mocno ścisnęła moją dłoń, przyklękła na jedno kolano i zamknęła oczy.

Poczułem mrowienie.

– Nie mogę bezpośrednio zmienić twojego kodu – stwierdziła. – Nie odważę się.

– To ja mam kod?

– Przejmujesz się? Myślałam, że uważasz Symulowane Jednostki za równe Żywozrodzonym.

– Wcale tak nie powiedziałem. Powiedziałem, że Maszynozrodzeni są ludźmi i że zabijanie ich jest niewłaściwe. Żywozrodzeni są absolutnie o wiele ważniejsi.

– Miło, że jasno widzisz swoje miejsce w porządku rzeczy.

– Cóż, w końcu jestem Bogiem-Cesarzem. Dlaczego powiedziałaś, że mam kod?

– Uspokój się. Wszyscy mamy notacje kodowe wokół rdzenia naszej tożsamości. Jak notatki na marginesach w podręczniku dodane przez kogoś uczącego się do egzaminów.

– Czym jest podręcznik? – Po chwili dodałem: – Czym są egzaminy?

– Nie rozpraszaaj mnie. Hm... tak. Nie mogę przepisać twojej magii, nie ryzykując, że całkowicie usmażę twój mózg.

– Nie zmieniaj magii. Po prostu spraw, by tu działała.

– Nie jestem pewna, czy to możliwe. Musiałabym zmienić prawa całego Stanu. Ale

może...

– Co?

Kroki maszyny czułem nawet w zębach – widziałem jej głowę nad szczytem pobliskiego budynku, te czerwone oczy błyszczące w deszczu.

– Cóż, wszystkie notacje kodowe, które wyjaśniają, jak ma działać twoja magia, wciąż są obecne, dołączone do ciebie. Wszystko wiąże się z twoim Stanem. Jak zakładam, jest w nim jakieś wewnętrzne źródło mocy?

– Tak. Nie możesz zmienić magii... ale czy mogłabyś przepisać źródło jej mocy? Sprawić, by coś w tym świecie mogło zasilać moje Przeszywanie?

– Hm... sprytne. Tak, może. Daj mi chwilę.

Wiatr zaczął się wzmagać, a mżawka zmieniła się w deszcz. Koszula już lepiła mi się do ciała, a włosy i broda były przemoczone.

Istota pokazała się w całej okazałości, ominęła pobliski budynek, odrywając trochę kamienia ze ściany.

– Chwilę... – powtórzyła Sophie.

– Nasz zapas chwil się kończy!

– Pracuję... pracuję najszybciej, jak mogę... Och, to będzie łatanina. Elektryczność. Może mogłabym wykorzystać elektryczność jako substytut tej twojej zorzy...

– Sophie! – krzyknąłem.

Machina nadepnęła jedną wielką stopą na nasz porzucony pojazd i zmiażdżyła go. Deszcz jeszcze się wzmógł, stał się ulewą.

– Mam! – powiedziała Sophie.

Przeszyło mnie mrowienie, zimniejsze niż deszcz. Sprawilo, że stałem się czujny, podekscytowany, odmieniony. Zadziało. Czułem, że zadziało.

Sophie jęknęła, a jej dłoń wysunęła się z mojej. Gdy osunęła się na ziemię, chwyciłem ją, przerzuciłem przez ramię i pobiegłem ulicą przez coraz silniejszą nawałnicę, próbując oddalić się od robota.

– Puść mnie – wymamrotała oszołomiona Sophie. – Nie jestem jakąś dziewczyną z tych twoich barbarzyńskich krain...

Dotarłem do osłoniętego zaułka poza zasięgiem wzroku robota i położyłem ją. Była bezwładna i opadały jej powieki.

– Nie jestem... Nie muszę być ratowana. Ja...

– Pomyśl o tym w ten sposób. Twoją wewnętrzną feministkę musi doprowadzać do szału świadomość, że została uratowana.

– Ty mnie nie ratujesz. To ja uratowałam ciebie... magią... i... – Odetchnęła głęboko. – Zaczekam tutaj.

– Mądry wybór.

Wyjrzałem ponownie na zewnątrz. Słyszałem szcęk kroków robota, czułem, jak pobliskie szyby drżą. Odetchnąłem głęboko i znów wyszedłem na ulicę.

Robot pochylił się i jedną ogromną dłonią podniósł pojazd. Popatrzył na mnie, jego czerwone oczy płonęły w deszczowej nocy, a później uniósł pojazd, jakby chciał nim rzucić.

Uśmiechnąłem się, moje serce było szybciej niż przez ostatnie kilka stuleci, i wszedłem w Przeszywający Wzrok.

Energia wisiała wszędzie wokół mnie. Wypełniała ziemię, pulsowała w budynkach i światłach. Wciągnąłem ją, co wywołało dziwny trzask. Napełniony mocą utkałem powietrze, by uniosło mnie w niebo i stworzyło barierę, która by mnie chroniła.

Nic się nie stało.

– A niech to diabli – powiedziała Sophie za moimi plecami.

Robot rzucił pojazdem – Przeszywającym Wzrokiem widziałem wszystko w liniach mocy – a ja zakląłem i padłem na bok. Przetoczyłem się po mokrej nawierzchni, gdy pojazd spadł na ulicę niedaleko mnie i zaczął się ślizgać po kamieniach.

Zachowałem życie, ale leżałem oszołomiony na ziemi. Potrząsnąłem głową i nie opuszczając Przeszywającego Wzroku, spojrzałem w stronę Sophie w pobliskim zaułku. Kulila się tam, opierając dłoń o ścianę, a w moich oczach była płonącym źródłem energii.

Chwileczkę, to nie w porządku. Dlaczego świeciła?

– Coś poszło nie tak, cesarzu! – zawołała, przekrzykując ulewę. – Przypadkiem zaprogramowałam cię na nowo tak, żebyś czerpał energię z ciepła, a nie z elektryczności.

Na Panów! Pokręciłem głową i podniosłem się.

Robot zbliżał się do mnie, był już niedaleko. Słyszałem deszcz uderzający o jego metal.

Zaczerpnąłem więcej energii i zrozumiałem, że Sophie miała rację. Przeszywający Wzrok pokazywał mi pojedyncze atomy we wszystkim, co mnie otaczało. Kiedy czerpałem moc, zwalniały i nieruchomiały. Zrobiłem krok, a pod moimi stopami zatrzeszczał lód.

Hakowanie się nie powiodło, i to nie tylko z powodu, który mi podała. Za każdym razem, kiedy próbowałem wykorzystać energię, nic się nie działo. Mogłem ją czerpać, ale później po prostu wyparowywała – nawet nie podgrzewała powietrza – i znikiała.

Materia Stanu buntowała się przeciwko mojemu wykorzystywaniu tych mocy. Co oznaczało, że nie mogłem przekształcić powietrza, by mnie chroniło. Ani stworzyć błyskawicy, by powaliła robota. Zupełnie żadnej magii.

Robot był już blisko, górował nade mną, dla mojego wzroku był zimną – niemal niewidoczną – sylwetką. Krocząc, niemal od niechcienia uderzył ręką w bok, miażdżąc mur i ludzi, którzy się za nim ukrywali.

– Nie udało się! – zawołała Sophie. – Musimy uciekać, i to już.

Ludzie. Widziałem ich teraz wyraźnie, nawet ukrytych w pokojach, byli bowiem jaskrawymi ogniskami gorąca w tej lodowatej, mokrej od deszczu krainie. Ludzie skuleni na ulicach. Kobieta z córeczką uciekała przed robotem, ale upadła na ziemię niedaleko mnie. Dziecko ciągnęło matkę za rękę i wrzeszczało przerażone.

Prawdziwi ludzie, którzy mieli uczucia, rodziny, ukochanych. A teraz mnie. Bez siatki zabezpieczającej. Czulem się bezradny. Po raz pierwszy od dziesięcioleci czulem się bezradny.

To było niewiarygodne.

Ruszyłem w deszczu w stronę robota.

– Kai! – krzyknęła do mnie Sophie.

Uniosłem ręce i zaczerpnąłem energii.

Deszcz zaczął padać mocniej.

Kiedy robot pojawił się po raz pierwszy, nadeszła fala deszczu, pomyślałem. Ta burza jest reakcją na hakowanie. Besk powiedział, że w tym Stanie nigdy nie pada nic mocniejszego od mżawki.

Zaczerpnąłem więcej ciepła. Burza jeszcze się wzmogła. Nad moją głową trzaskały błyskawice. Zadudnił grzmot, głośniejszy od kroków robota. Maszynę dzieliły ode mnie już tylko metry.

Atomy ziemi pod moimi stopami znieruchomiały i musiałem wyrwać stopy z butów, które zamarzyły na sztywno. Zimno nie wpływało na moją skórę. To była część mojej magii, która najwyraźniej została ze mną. Byłem chroniony przed większością efektów swojego Przeszywania.

Robot opuścił rękę, żeby mnie zmiażdżyć.

Włączyło się przyśpieszenie umysłu. Mogłem ocenić, gdzie opadnie ręka, i zszedłem jej z drogi. Dłoń zmiażdżyła lód i kamień i uniosła się w moją stronę.

Pozwoliłem, by pochwytiła mnie w swoim zimnym stalowym uścisku.

– Mam cię! – zagrzmiął głos. Ten sam, który słyszałem przed laty w Stanie Granicznym, brzęczący, metaliczny. – W końcu cię mam! Mogę cię zmiażdżyć w swoich palcach, dziecko! Oto ja, Melhi, pokażę ci, co to znaczy mnie obrazić!

Deszcz padał coraz mocniej, a ja czerpałem coraz więcej mocy.

– Nie odbierzesz ciepła temu robotowi, głupcze – powiedział Melhi ze śmiechem.

I rzeczywiście widziałem jego rdzeń – ukryty głęboko pod warstwami izolowanego metalu – i mimo wszelkich wysiłków nie mogłem zaczerpnąć tego ciepła. Nie przejmowałem się tym. Sprawilem, że burza rozszalała się jeszcze bardziej. Krople deszczu spadały jak noże, zamarzały, zanim mnie uderzyły, i szarpały moją skórę.

Zadziałało przyśpieszenie uzdrawiania, choć z trudem nadażało za lodem odzierającym mnie ze skóry. Zaczerpnąłem tak wiele, że znieruchomiały nawet atomy powietrza, a gazy stały się płynami. Powietrze dziwnie parowało, niemal od razu powracając z sykiem do stanu gazowego.

– ...część mnie, która buntuje się przeciwko... podąży naprzód... nie... ich marionetką...

Nie słyszałem słów Melhiego. Burza stała się zbyt głośna, lód i deszcz uderzały o ciało robota z odgłosem przypominającym kamienie uderzające o blachę. Deszcz rozbijający się o nas jak oceaniczna fala. Grzmot, błyskawice, rozrywające się niebo, materia tego Stanu rozpadała się na kawałki.

Czerpałem ją, karmiłem się nią. Oto była muzyka, której nigdy wcześniej nie znałem. Robot próbował mnie ścisnąć, ale coś było nie tak z jego ręką i nacisk nie był odpowiednio wielki. Z uśmiechem sięgnąłem do dłoni, która mnie trzymała, i zaczerpnąłem ciepła z zewnętrznej warstwy robota. Metal był doskonałym przewodnikiem – wciągałem w siebie ciepło, jakbym pił wodę przez słomkę.

Przez chwilę byłem świadom jedynie coraz potężniejszej nawałnicy. Jakby to była wściekłość samego Boga krzyczącego na mnie za to, że złamałem prawa rzeczywistości.

Robot zaczął pękać. Nie chodziło o zimno, ale o wodę. Wodę, która wsączała się w złączenia i zamarzała. Za nią podążała kolejna woda, która również zamarzała, zwiększając objętość. Złączenia naprężyły się i popękały.

Cały robot rozpadł się na części i z głośnym grzmotem przewrócił na ziemię.

Upadłem ciężko. Wstrząsnęła mną fala bólu, a Przeszywające Widzenie zniknęło.

Otworzyłem oczy i odkryłem, że leżę pośród resztek maszyny. Deszcz słabł, a ja wypuściłem resztki energii, które miałem w sobie. Okolicę – zniszczone budynki, popękana ulicę – pokrywała gruba warstwa lodu. Łapałem wielkie hausty zbyt zimnego powietrza. Ubranie miałem w strzępach. Materiał zamarzł stłukł się jak szkło.

Uwolniłem się ze szczątków, pozostawiając niepokojąco dużo skóry przymarzniętej do ręki robota. Na szczęście przyspieszenie uzdrawiania działało dość dobrze, by skóra mi odrosła.

Odwróciłem się do zniszczonej bestii i uśmiechnąłem szeroko. Zwyciężyłem. Tam, gdzie zwycięstwo nie było dla mnie przygotowane, wygrałem na polu bitwy, którego nie stworzyło Wode. Tu nie było żadnego algorytmu, który by mną kierował.

Czułem się bardziej żywy niż kiedykolwiek. Odnalazłem coś prawdziwego. Zupełnie jak... jakbym po raz pierwszy się obudził.

Sophie stała na skraju zamarzniętej ziemi. Na Panów, była piękna. Nigdy sobie nie uświadamiałem, jak bardzo chciałem poznać kogoś prawdziwego, kogoś naprawdę żywego. Kogoś, kto nie był stworzony tylko dla mnie, kto miał życie poza moim. To było podniecające jak diabli.

Uśmiechnęła się do mnie szeroko, po czym wyjęła z torebki nieduży pistolet, przycisnęła go do głowy i pociągnęła za spust.

Wybuch sprawił, że uruchomiły się moje przyspieszenia umysłowe. Ze wszystkimi szczegółami widziałem, jak z boku jej głowy wypływa krew, struzki szkarłatne jak jej sukienka. Przyglądałem się w zwolnionym tempie, a fragmenty mojego nowego życia umierały, gdy gasły jej oczy.

Przyspieszenie się skończyło. Trup Sophie osunął się na ziemię.

Zatoczyłem się w jej stronę i ujrzałem słowa wypisane w lodzie. Zagłębione, jakby wykute dłutem przez rzemieślnika.

SŁYSZAŁEŚ PRZECIEŻ, ŻE MÓJ NOWY ROBOT BĘDZIE CUDOWNY. UDOSKONALENIE SOPHIE WYMAGAŁO DŁUGIEJ PRACY. CIESZY MNIE, ŻE UJĘŁA TWOJE SERCE. TWÓJ DŁUG ZOSTAŁ SPŁACONY.



– Tak mi przykro, milordzie – powiedział Besk. – Tyle że ona nie była prawdziwa. Zauważyłem to, ale Melhi odciął mnie od systemu. Ta kobieta była jak ten emisariusz, którego spotkaliśmy w Stanie Granicznym... sztuczny twór, kontrolowany na odległość, ale tym razem stworzony w taki sposób, by nie dało się go odróżnić od ludzkiej istoty.

Nie odpowiedziałem. Stałem przy oknie i patrzyłem na swoje miasto. Mój gabinet wydawał się zbyt ciepły. Zbyt przyjazny. Kłamstwo.

– Mam problem z uzyskaniem odpowiedzi od Wode – mówił dalej Besk. – Ja... ja nie wiem, skąd się dowiedział, którą kobietę wybierzemy.

– Nie wiedział. Przejął informacje opisujące tę, którą wybraliśmy, nie dopuścił, by dotarły do prawdziwej kobiety, i posłał zastępstwo.

– Ach, oczywiście.

Głos Beska jak zawsze brzmiał beznamiętnie.

– Czy ktokolwiek z nich był prawdziwy? – spytałem cicho. – Ludzie, których ocaliłem? A może wszystko w tym Stanie było dziełem Melhiego?

– Nie wiem.

Wszystko, o czym z nią rozmawiałem... wszystko, co powiedziała... było fałszerstwem.

Niczego nie wiedziałem. Nie wiedziałem nawet, co mam czuć.

Besk zostawił mnie w gabinecie. Wyraźnie nie miał pomysłu, co robić – kręcił się przy mnie od czasu mojego powrotu. Grzane wino stało na stoliku przy kominku nietknięte.

Krążyłem po komnacie, czułem się wściekły, oszukany, pusty.

W końcu podniosłem Zwój Wode i wypisałem prostą prośbę. „Kim są Żywozrodzeni w dziesięciu słojach po obu stronach mojego? Chciałbym poznać ich imiona i identyfikatory ich Stanów”.

Czekałem. W końcu nadeszła odpowiedź, litery pojawiały się na kamiennej płytce jakby wypisane atramentem.

„Przepraszamy za traumę, którą przeszedłeś. Melhi zostanie przywołana do porządku. Nie wiemy, jak zhakowała tamten Stan, to nie powinno być możliwe. Zostałeś jednomyślnie zwolniony z obowiązku rozmnażania. Możesz wracać do swoich rządów”.

Przez kilka chwil wpatrywałem się w płytkę, po czym znów napisałem. „Jakie są imiona i identyfikatory Stanów Żywozrodzonych w dziesięciu słojach najbliższej mojego? Chciałbym się z nimi skontaktować”.

Długa przerwa. W końcu pojawiły się imiona.

Nadszedł czas zakończyć życie w izolacji.

Podziękowania

Przy każdym projekcie wiele osób pracuje za kulisami. A każdy, kto w nim uczestniczył, zasługuje na podziękowania.

Chciałbym podziękować swojej grupie pisarskiej Here There Be Dragons (Tu Są Smoki) w składzie: Emily Sanderson, Peter & Karen Ahlstrom, Ben & Danielle Olsen, Alan Layton, Kaylynn ZoBell, Eric Patten i Kathleen Dorsey Sanderson. Isaac Stewart odpowiada za wygląd ostatecznego produktu. Niewysłowny Peter Ahlstrom jak zwykle zrobił doskonałą redakcję. J.P. Targete zaadaptował swoją uderzającą grafikę, by lepiej pasowała do tego tekstu.

Korektą tego tekstu zajmowali się między innymi: Alice Arneson, Aaron Biggs, Jakob Remick, Corby Campbell, Kelly Neumann, Megan Kanne, Maren Menke, Bob Kluttz, Lyndsey Luther, Kalyani Poluri, Rahul Pantula, Aaron Ford, Ruchita Dhawan, Gary Singer i Bart Butler. Dziękuję wam wszystkim za wkład!

Brandon Sanderson